



Przodolnica

Pismo
dla kobiet wiejskich
wychodzi w drugą niedzielę każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

rocznie	1 kor.	zagranicą	1 marka
półrocznie	50 hal.	pojedynczy numer	10 gr.

Adres Redakcyi: Szpitalna 7, I. p.



MICHAŁ BAŁUCKI.



Michał Bałucki.

Z drugim przyjacielem naszego pisma przychodzi się nam żegnać dziś. W październiku bowiem na cmentarzu krakowskim pochowaliśmy ś. p. Michała Bałuckiego, wysoce cenionego komedyo- i powieściopisarza, a wierszego sprzymierzeńca tych wszystkich, którzy w imię dobra ogółu dla tegoż ogółu na jakimkolwiek polu pracowali. Urodzony w r. 1847 w Krakowie, z rodziny mieszczańskiej pochodząc, tu kształcił się w gimnazjum a następnie w Uniwersytecie Jagiellońskim i całym sercem swe rodzinne miasto ukochał, i tak do niego szczerze i silnie przyłgnał, że niemal nie opuszczał go nigdy na dłuższy czas przez ciąg swego 63-letniego żywota. Znał też nietylko te mury i prastare pamiątki Krakowa, ale niemniej i ludzi, jego mieszkańców, a opisywał ich w swych dziełach z taką prawdą, życzliwością i życiem, jak nikt może inny z autorów.

Ale i lud — zwłaszcza z okolic swego ukochanego Krakowa — umiłował Bałucki głęboko i z życia ludu tego treści do niejednej z swych powiastek zaczerpnął. Przypominacie sobie zapewne zeszłego roku drukowaną w Nrze 6 *Przodownicy* opowieść p. t. „Babska siła“ a i w tym numerze zamieszczamy jego pióra historię bardzo pouczającą p. t. „O zagon ziemi“.

W młodości swej, zwłaszcza między rokiem 1856 a 1869 układał też Bałucki piękne wiersze, pełne patryotycznego natchnienia, o formie łańkowej, ludowej niemal. Jeden z takich wierszyków „Krakowiaki“ poniżej zamieszczamy :

Znałem ja w Krakowie jedno dziewczę szwarne,
Smigłe, jak chabinka, oczka miała czarne :

Ale nie kochała mojego Krakowa,
Więcem jej zaśpiewał : bywajże mi zdrowa,

Bo jabym chciał takiej, coby jej na twarzy
Wyczytał człek jasno, że o kraju marzy ;

A gdy ziemia smutna, kiedy krwawe dzieje
Niech i moje dziewczę smutkiem pociemnieje.

Niech się w łzy ubierze i żałobę nosi,
I niech Pana Boga za swą ziemią prosi,

Niech gorącym słowem bohaterów rodzi,
I niech budzi śpiących, jeśli usną młodzi ;

A jeżeli stchóżą, spodłają się niepięknie,
Niech im wzgardą splunie, choć im serce pęknie.

Zacne panie matki, takich córek wiele,
A hędzie nad Wisłą radość i wesele.

Wtedy krakowiaka i ja wytnę sobie,
Że się aż umarli uradują w grobie.



O ZAGON ZIEMI.

Środkiem ornego pola płynął potoczek, nie większy może, jak na szerokość jednego zagona. Potoczek ten stanowiął naturalną granicę między gruntami dwóch braci rodzonych, Walentego i Bartłomieja Giczałów, którzy we wsi Dolinie liczyli się do najmajątniejszych gospodarzy. bo każdy z nich miał po dwadzieścia kilka morgów pola i budynki porządne, a w komorze i oborze dostatek wielki na domową potrzebę. Ta tylko była między nimi różnica, że Walenty był bezdzietny, a Bartkowi za to sypały się dzieci jedno po drugim, co rok, to prorok, a jednego roku było aż dwoje naraz. W przeciągu kilku lat uzbierało się aż pięcioro tego drobiazgu. Bartka zaczęło już niepokoić to zbytczne błogostawieństwo Boże i skrobał się zafrasowany po głowie, jak sobie pomyślał, że to wszystko trzeba będzie wychować i wywianować i gruntem obdzielić; ale go ludzie pocieszali, że przecież Walenty swego do grobu nie zabierze i grunt po jego śmierci nikomu się nie dostanie, tylko jemu, boć to przecież najbliższa rodzina.

No i widziało się, że tak będzie, bo Walenty bardzo szczodrym okazywał się dla brata i jego rodziny. Dziewczynę mu trzymał do chrztu, a na wiązanie dał jej jałówkę i parę prosiąt, chłopca najmłodszego obiecał mu wziąć do siebie na wychówek, jak tylko trochę podrośnie i do szkoły posyłać. I oprócz tego pamiętliwym był zawsze na nich, nie wrócił nigdy z jarmarku albo odpustu, żeby im sutego gościnka nie przywiózł; zabił kiedy wieprza, to większa część słoniny i kiełbas szła do Bartkowej komory; pierwszy placek miodu dostawał się zwykle Bartkowym chłopakom, a Bartkowa dostała od niego z okazji pierwszego chłopaka pięć sznurków koralu, ale to jeden w drugiego jak groch wybierany. Bo Bartek był chłop rozdawny; nie żałował sobie, ale i ludziom nie żałował.

— Nie mam dzieci, — mówił, — nie mam dla kogo chować. Tyle mojego, co sobie użyję i ludziskom uciechę zrobię.

To też czy chrzciny, czy wesele gdzie we

wsi, on wszędzie był, a nigdzie z próżną ręką, nie załował na podarunek i poczęstunek.

Ale najrozdawniejszym był dla kościoła. Nie przepuścił nigdy koło siebie dziadka ze dzwonkiem, żeby mu do skarbonki nie wpuścić szóstaka, a oprócz tego i w rękę zawsze mu coś wcisnął na tabaczkę. Czy sprzedawał cielę, czy ćwiartkę zboża, czy wieprzaka, wnet niósł z tego cząstkę na ofiarę kościołowi, to na światło, to na mszę świętą, a Walentowa co roku kilka funtów wosku zanosiła księdzu proboszczowi na świecę. Za to Pan Bóg błogosławił im na wszystkim, na zdrowiu i na dobytku. Wiodło im się dobrze, kłopotów nie mieli żadnych, to też wyglądali, że miło było spojrzeć. On, choć chłop nie duży, ale nabity i rumiany jak ćwik, a Walentowa, jak się wyróżnęła w niedzielę do kościoła, to wyglądała jak krakowska przepukpa na Boże Ciało, taka okazała i miniasta.

Ale jednego roku Walentowa zaczęła jakoś zanadto przybierać na tuszy i grubieć w pasie. Z początku nikomu ani na myśl nie przyszło, żeby się na coś zanosiła, bo babina była już dobrze po czterdziesto. Jedni myśleli, że jej kluski z masłem tak posłużyły, drudzy przypuszczali puchlinę, aż tu jednego dnia gruchnęło po wsi, że Walentowa w nocy powiła córkę.

— No, to się Bartkom teraz urwie, — pomyślał sobie jaki taki. I nikt nie miałby Walkowi nawet tego za złe, żeby okazywał większą dbałość o własne dziecko, niż o cudze, tembardziej, że mu owe dziecko tak niespodziewanie, jakby z nieba spadło. Ale Walenty poszedł tak daleko w tej swojej dbałości, że przeszedł wszelkie oczekiwania. Wprawdzie chrzciny wyprawił sute, naspraszał ludzi moc, poił i częstował wszystkich i sam upił się z wielkiej radości; ale po chrzcinach odrazu jakby uciał, odsunął się od ludzi, ani go w karczmie, ani na jarmarku nikt nie uświadczył, tylko ciągle w domu, albo przy robocie, a zeskąpiał tak, że zanim wyda jaki krajcar, to go pierwszej dobrze naobraca i z ręki do ręki naprzekłada.

— Trzeba składać na wiano — mówił. — bo dziewucha tyle warta, ile za nią ojcowie dać mogą.

I że chciał, żeby jego jedynaczka była w wielkiej cenie u ludzi, więc jej ciął skwapliwie grosz do grosza. Dziewczyna była jeszcze w pieluchach, a on już o weselu myślał. Ludziska śmiali się we wsi z tego, ale Walenty nie uważał na to, tylko robił swoje.

Już teraz nie widać było na jego twarzy owej wesołości i zadowolenia, jak dawniej; chodził wiecznie markotny i zafrasowany, a narzekał

wciąż na ciężkie czasy. Kiedy przyszło dać na kościół, albo na szkołę, albo na kancelaryę, to zwlekał, odkładał, dopóki mu egzekucyi na kark nie zesłano. Już teraz i o ofiarach do kościoła nie pamiętał, wosk sprzedawał na jarmarku, zamiast go dać na ołtarz, a księdzu wikaremu przy dziesięcinie, to najlichsze snopki odkładał. Raz tylko, kiedy jego mała Kasia zachorowała na chrosty, poszedł na jej intencję zamówić mszę świętą; ale się targował z proboszczem, jakby nie przymierzając w żydowskim sklepie. Za to w domu był bardzo nabożny, bo cały prawie tydzień i on i żona i czeladź, ciągle z postem. Tylko, że ludzie gadali, że on to więcej robi ze skąpstwa, niż z pobożności. Żona także nie lepsza była od niego. Już się teraz u nich nawet dziad nie pożywił; jak się zjawił który u ich proga, to go odsyłali do Pana Boga po opatrzenie, ale sami nic nie dali. Czeladź żywili źle, a wymagali od każdego roboty, choćby za trzech. Jak nie było nic do roboty w domu, to posyłali parobka i dziewczkę na zarobek do dworu, wyszukując ich pracę na własną korzyść. Gdzie się tylko dało coś zyskać, choćby tyle, żeby się dziad na to nie połakomił, Walenty nic nie pytał na śmiech ludzki, tylko szedł i brał. Znalazł gdzie kawałek patyka, garsteczkę słomy, odrobinę zboża rozsypanego na gościńcu, wszystko to zbierał skrzętnie i niósł do domu. Co gorsza, widywano go nieraz o zmroku, ciągnącego patyki z dworskiego lasu, albo zzynającego sierpem pszeniczne kłóski z pańskiego łąnu. Parę razy nawet próbował wrać się w pańskie grunta, o co go do sądu pociągać musiano i komisję sprowadzano na niego.

Rozumie się, że i z bratem stosunki jego zmieniły się także i dawna przyjaźń bardzo ostygła. Już ich teraz nie widywano razem idących ze swojemi kobietami do kościoła, lub na jarmark, jak przedtem, niby wyraźnie nie zerwali ze sobą, ale widocznie unikali spotkania. Bartkowie dlatego, że uważali się niejako za pokrzywdzonych, a Walenty z obawy, żeby mu się nie naprzykrzali o jaką darowiznę lub pożyczkę, do czego teraz wcale nie był skory.

Tymczasem zaszedł wypadek, który nietylko, że bardziej ich jeszcze odsunął od siebie, ale zrobił ich wrogami. Powodem tego był ów mały potoczek, o którym mówiliśmy na początku. Potoczek ów nie wiadomo z jakiego powodu wysechł zupełnie, a raczej zgubił się bez śladu właśnie od miejsca, gdzie stanowił granicę między gruntami braci Giczalów. Nieco powyżej tego miejsca było trzęsawisko na pastwisku. Otóż potoczek w tem trzęsawisku gdzieś uwieczgnął i nie

pokazywał się dalej. Skorzystał z tego Walenty, który już od kilku miesięcy pożądliwym okiem patrzył na ten kawałek odłogiem leżącej ziemi i orząc swoje pole, zorał także łożysko potoku, a gdy Bartek zapytał go: jakim prawem? — odpowiedział hardo, że potok był na jego gruncie. Napróżno wójt i przysięgli radni przedkładali mu, że łożysko rzeki, jako granica, należy po połowie do każdego, on drwił sobie z ich uchwały i oświadczył, że się dzielić nie myśli swoją własnością, a jeżeli Bartek nie zgadza się na to, niech idzie do sądu po sprawiedliwość.

Ale Bartek nie myślał bawić się w procesa i sam sobie sprawiedliwość wymierzył, bo kiedy raz Walenty poszedł z podatkiem do miasta, on wyjechał z pługiem na pole i łożysko przyorał do swego gruntu. Przyszło ztąd między nimi do kłótni i bójki, z której Walenty, jako słabszy, wrócił do domu poturbowany i sponiewierany przez brata. Pobicie nie było szkodliwe; ale Walenty umyślnie udawał więcej chorego, jak był w istocie, położył się do łóżka na parę tygodni, stękał i jęczał, że go aż na drodze słychać było, posłał po felczera do miasta i kazał sobie napisać *visum repertum*. Szło mu bowiem o to, żeby brata wpakować koniecznie do kryminału. Jakoż w istocie sąd po przesłuchaniu świadków, skazał Bartka na miesiąc aresztu i zwrot kosztów procesu.

Od tego czasu między domami obydwóch braci otwarta wybuchnęła wojna, w której nawet dzieci Bartkowe wzięły żywy udział, rzucając kamieniami za Walentową z poza płota, a bratowe, nie przeszły nigdy jedna koło drugiej, żeby sobie nie nawymyślać porządnie i nie odgrażać pięściami. Szczególniej Bartkowa rozsierdziła się okrutnie, bo strawić tego nie mogła, że przez Walentych, mąż jej dostał się do kryminału, to też, gdzie mogła, wymyślała im od złodziejów, krzywdzicieli, i obiecywała, że dostaną za swoje, skoro jej chłop odsiedzi swoje i wróci do domu.

Bartek jednak, nauczony smutnemi doświadczeniem, nie miał jakoś ochoty drugi raz dochodzić pięścią praw swoich, zaskarżył tylko brata do sądu o gwałt i nieprawne przywłaszczenie gruntu. Na pierwsze koszta procesu sprzedał jałówkę, bo się zawiązał na brata i przysięgał sobie, że mu nie ustąpi.

— Żeby tam nie wiedzieć co, — mówił przed sąsiadami, to on tego zagona mieć nie będzie. Mówił mi adwokat, że ja wygrać muszę.

No i w istocie wygrał w pierwszej instancji. Ale Walenty apelował i sprawa poszła wyżej. I nastąpiły nowe koszta na stemple, adwokata, komisye, jazdy do miasta, częstowania świadków,

itd., na które Bartek musiał sprzedać jednego konia i zaciągnąć w banku pożyczkę na grunt. Skrobał się biedak po głowie; ale cóż miał robić? Przecież wygranej sprawy nie będzie odstępował. Zresztą, choć są koszta, to je przegrzywający będzie płacić, a był najmocniej przekonany, że Walenty musi przegrać, bo go i adwokat zapewniał, no i sąd powiatowy był po jego stronie.

Zanim jednak do tego przyszło, musiał jeszcze na koszta procesu sprzedać dwie krowy i kilka korcy zboża i to w czasie, kiedy najgorzej za nie płacono. Także i Bartek przez ten proces siedział już w długach po uszy i cierpiał wielki niedostatek. Do tego jeszcze, przez ciągłe wyjazdy do miasta zaniedbał się w robocie, rozpuścił się i rozpił.

Często bardzo żona towarzyszyła mu w tych wycieczkach i pomagała mu pić i płakać. A tymczasem gospodarstwo szło coraz gorzej, długi rosły, grunta się wyjałowily, w chacie znać było niedostatek i zaniedbanie, a dzieciśka głodne, rozpuszczone bez dozoru, wałęsały się po wsi, patrząc, gdzieby mogły co ściągnąć, czy kawałek chleba z komory, czy rzepy natargać na cudzym gruncie, albo psotę komu wyrządzić.

Proboszcz widząc, co się to zrobiło z porządnego niegdys gospodarza, i z jego rodziny, próbował napominać go i przedstawiał, aby zaniedbał tego nieszczęśliwego procesu, który go do ruiny doprowadza. Ale to się na nic nie zdało, bo Bartek zawsze jedno i to samo powtarzał:

— Jako, proszę księdza dobrodzieja, to mam pozwolić krzywdzić siebie i moje dzieci? O! niedoczekanie jego.

— Ależ to ty właściwie krzywdzisz swoje dzieci — tłómaczył mu ksiądz — trwając uparcie przy tym procesie. Bo o cóż wam idzie? O ten lichy zagon, który w roku może ci przynieść zysku wiele? najwyżej guldena.

— O! jak dobry rok, to może przynieść i dwa i więcej.

— Więc dla dwóch lub trzech reńskich mitręzysz czas, zdrowie, pieniądze, a co gorsza, odwykasz od pracy i porządnego życia. I wartoż to dla paru guldenów?

— Tu nie idzie o te głupie parę reńskich, proszę jegomości, jeno o sprawiedliwość, o to, żeby mu pokazać, że to nie on ma słuszność, tylko ja. A dychy on dopiero nosa zadzierał, żeby mu ustąpił. O! niedoczekanie jego. Choćbym miał marnie skapać, to postawię na mojem i pokażę mu, że moje na wierzchu.

Napróżno ksiądz usiłował ze stanowiska re-

ligijnego wytłomaczyć mu, że taka zaciętość i nie-nawiść przeciw bliźniemu, a co więcej, przeciwko bratu, grzechem jest wielkim, uparty Bartek decydował się w czysto odpokutować za to, obiecywał nawet suszyć trzy razy w tygodniu dla prześlągnięcia Pana Boga, ale — mówił: — swego nie daruję. — Procesowanie stało się już jego chorobą. Nie chodziło mu tyle o rzecz samą, o którą właściwie spór się rozpoczął, jak raczej o chęć dokuczenia przeciwnikowi, o postawieniu na swoim.

Coś podobnego działo się i z Walentym. Pierwotnie popcheła go do procesu chęć zysku, która u niego wynikała ze zbytnej troskliwości o przyszłość jedynaczki. Ta miłość była głównym powodem jego zajścia z bratem. Zdawałoby się więc, że ze śmiercią tego dziecka, które rzeczywiście w siódmym czy ósmym roku umarło na szkarlatynę, wszelki zysk materialny straci urok w oczach zafrasowanego ojca, że mu się odechce procesu.

Tymczasem on po śmierci jedynaczki rzucił się do procesu w większą jeszcze skwapliwością, niż przedtem. Zdawało mu się, że wygrawszy proces, pomści się niejako na Bartłomiejach za śmierć swego dziecka, którą przypisywał ich pomstowaniom i złym urokom. To też zaprzysiął sobie, że musi ich na dziadów wykierować. No i doczekał się tego, bo po paru latach żydzi grunt i chałupę wystawili na licytację i kupili za liche pieniądze, a Bartek z rodziną wprosił się na komorne do arendarza, któremu wodę nosił, drwa łupał i w szabas świeczki objaśniał.

Wreszcie wyrokiem sądu przyznano mu pół zagona na własność i trzydzieści pięć reńskich, jako zwrot kosztów. Z tych pieniędzy jednak nie zobaczył ani grosza, bo adwokat zabrał je sobie, jako zapłatę za swoją pracę i trudy i kazał jeszcze Bartkowi dołożyć 10 złr. Taka wygrana, to były czyste drwiny z jego nędzy, bo wygrał pół zagona, a stracił całą rolę swoją i chałę i sprzęt i dobytek i jeszcze został wniwien. Mimo to, obchodził uroczystości w karczmie to swoje zwycięstwo nad bratem i głosił wszystkim, że nie go tak w życiu jeszcze nie ucieszyło, jak to, że pokazał temu dumnemu Walkowi, co on to może. Całą wartość owego wygranego pół zagona przepił przez jeden wieczór, fundując każdemu, co się wtedy w karczmie pokazał.

Ale gdy przyszło w końcu do tego, że nie było za co pić, wtedy i rezon jego ustał, natomiast rozpoczęły się lamenty i wyrzekania na brata, że go zniszczył, dziadem zrobił i odgrazania, że mu tego nie daruje. Pogróżki te nie-rar słyszeli ludzie; to też kiedy jednego wie-

czora chałupa Walentowa stanęła w płomieniach, wszyscy prawie jednogłośnie orzekli, że to nikt inny nie zrobił tylko on. Na podstawie tych pogróżek, zandarmi skuli mu ręce i zaprowadzili do kryminału. Dopiero w pół roku potem wydało się, że to trzynastoletni jego chłopak zapuścił ogień pod stodoły Walentego, mszcząc się za to, że go raz tenże obił, chwyciwszy na kradzieży sperki w komorze. Wskutek tego zeznania, ojca uwolniono z więzienia. Nie wrócił on jednak do wsi, bo w więzieniu porobił znajomości ze złodziejami, którzy wzięli go w swoją opiekę i obiecali nauczyć sposobu łatwego zarobkowania.

Nie lepiej kończy drugi brat. — Jego mienie także nadszarpał proces. Nie potrzebował wprawdzie sprzedawać grunte; ale go mocno zadłużył w banku. Przy pracy jednak i zabiegliwości, byłby mógł w kilku latach wygrzebać się z tych długów, gdyby nie ciężkie kalectwo, które ludzie uważali za karę Bożą, bo przyszedł do niego rzeczywiście w sposób nadzwyczajny. Ów potoczek, o który dwaj bracia tak długi a zacięty spór wiedli, był właśnie przyczyną jego kalectwa, a to w następujący sposób.

Mówiło się wyżej, że potoczek ten zatracił się gdzieś w trzęsawiskach bo pod ziemią znalazł odpływ. Rozpadlina była gliniasta, potoczek podmywał ją i nurtował i rozszerzał coraz więcej, szczególnie w czasie nawalnych deszczów tak, że uformowała się z rozpadliny przepaść, rodzaj pieczary podziemnej, która właśnie rozciągała się pod gruntami Walentego Gicząły. Więc gdy Walenty z kołmi i pługiem wjechał raz na to osłabione miejsce, zapadł się razem z nimi i zginął pod ziemią. Żeńcy, którzy właśnie wracali z pola usłyszawszy jęki i wołania, dobywające się z pod ziemi, pospieszyli na miejsce wypadku i ze zdziwieniem zobaczyli, że tam, gdzie było dotąd równe pole, otworzył się teraz głęboki parów, na spodzie którego leżał do połowy przysypany ziemią Walenty i wydawał nieludzkie prawie krzyki z bólu i przestraszu. Wydobyto go złamtąd z niemalym trudem, ale poprzetrącanego w kilku miejscach, pokaleczonego, zakrwawionego, bo sobie rozciął twarz przez pół na pługu. Koni nie dobyto, te się na śmierć zabiły.

Walenty wylizał się jako tako i żył; ale liche było jego życie. Wprawdzie kował z pobliskiej wsi, co uniało naprawiać złamanie, poskładał mu jako tako do kupy poprzetrącane kości, mimo to wyglądał jak pokraka, zgięty w krzyżach z krzywymi nogami. Do tego jakieś bóle ciągle mu dokuczały, szczególnie na stółce. Napróżno Wa-

lentowa dawała na mszę św., zwoływała znachorki do zażęgniwań i kadzenia, wożono go nawet do jakiegoś owczarza do Królestwa, nie nie pomogło, a pieniądze kosztowało co niemiara, to też gdy przyszło jeszcze raty płacić w banku, trzeba było sprzedać grunt. Przy chałupie trzymali się jeszcze czas jakiś, żyjąc resztkami pieniędzy, co im się wtedy po zapłaceniu długów zostały, a kiedy w końcu i te się rozeszły, uprosili sobie u księdza proboszcza, że im pozwolił mieszkać przy kościele, gdzie Walentowa dostała miejsce babki, a Walentego w dniu w których mu było lepiej, albo gdy odpust lub jarmark wypadł, wywoziła w taczkach na ludne miejsca, żeby sobie z jałmużny uzbierał trochę groszy na życie.

Tak skończył bogaty niegdyś kmieć. Był on przestraszającym przykładem dla drugich i przysłowiem się to stało między ludźmi w tej wsi, że jak się dwóch procesowało ze sobą o hyle głupstwo, na które plunąć nie warto, to im mówiono: procesujcie się, procesujcie, wyjdziecie na tem jak Giczula.



Czy można ustrzedz się choroby?

(Ciąg dalszy).

Ponieważ do kobiety należy zazwyczaj obowiązek przyrzadzenia i podania stawy dla całej rodziny, przeto powinna ona zapoznać się dokładnie z przepisami, które ją pouczą, jaka strawa jest najbardziej dla zdrowia pożyteczną.

Człowiek zarówno jak zwierzęta i rośliny przez samo życie traci ciągle część swojego ciała. Ruch i praca straty te zwiększają. Chcąc te straty wynagrodzić, musimy stracone części zastąpić nowymi.

Spożywanie pokarmów ma właśnie na celu takie zastąpienie straconych części. Człowiek głodzony, będzie chudnąć i tracić na wadze, aż w końcu zamrze, gdy mu już „paliwa“ do życia zabraknie. Musimy zatem ciągle owego „paliwa“ dostarczać, żeby nasza „życiowa maszyna“ nie stanęła. A tak, jak kamień, wrzucony do ognia palić się nie będzie, albo też mokre drzewo nie da dobrego płomienia, tak też i niewłaściwe lub złe jedzenie naszej „życiowej maszyny“ dobrze nie podtrzyma.

Gdy w sukni naszej zrobi się dziura, dajemy łąkę z tego samego materiału, — gdy w ciele

naszem stracimy trochę cząsteczek, musimy dostarczyć takiego materiału, z któregoby takie same cząsteczki powstać mogły. Gdybyśmy dawali do jedzenia nawet bardzo dużo rzeczy niewłaściwych, n. p. piasku, trocin, węgla itp., nasze ciało nieby na tem nie zyskało, bo nasza życiowa maszyna, czyli mówiąc naukowo, nasz organizm, nie pożytecznego dla siebie z tych materiałów wydobyć nie potrafi. Dlatego jedzenie nasze powinno być przedewszystkiem pożywe, t. j. takie, żeby zawierało w sobie takie materiały, z którychby utracone przez życie cząstki naszego ciała odbudowane być mogły.

Pokarmy mogą być mniej i więcej pożywe. Mniej pożywnych trzeba zjeść więcej, bardziej pożywnych mniejsza ilość wystarczy.

Żaden jednak pokarm nie zawiera w sobie samych tylko pożywnych części, w każdym są i takie, które dla ciała naszego nie przedstawiają wartości. To też organizm nasz tak mądrze umie sobie postępować, że po przerobieniu pokarmu w żołądku i кишkach zatrzymuje dla siebie części pożyteczne, a niepotrzebne z kałem odrzuca. To przerobienie, rozdzielenie i zużytkowanie pokarmu nazywa się trawieniem. Zdrowy człowiek dobrze trawi, ten zaś, u którego maszyna do trawienia służąca, czyli tak zwany narząd pokarmowy działa źle — chorować musi.

Przy podawaniu pokarmów starać się zatem musimy: po pierwsze o to, żeby dostarczone jedzenie było pożywe, to jest zawierało w sobie części do odbudowania ciała naszego potrzebne i po drugie o to, żeby te pokarmy były łatwo strawne, to jest, żeby przy ich przerabianiu nasz narząd pokarmowy się nie popsuł.

Gdybyśmy zważyli całą codzienną strawę wieśniaka i taką samą strawę miejskiego zamożniejszego człowieka, to się przekonamy, że to, co zjada wieśniak-rolnik, waży 2 a nieraz i 3 razy więcej, niż to, co zjada lekarz, adwokat, kupiec, lub miejski robotnik. A przecież ten wieśniak nie jest lepiej odżywionym, widocznie zatem ta większa ilość zjadanych pokarmów nie idzie mu na pożytek. I tak jest istotnie: wieśniak je więcej, ale mniej pożywe ma jado, mieszczanin je mniej, ale lepszą, pożywniejszą strawą.

Kto na tem lepiej wychodzi? Rzecz prosta, ten, kto ma ze strawieniem pokarmów mniej pracy, to jest ten, którego narząd pokarmowy przy przerabianiu pokarmów mniej pracować musi. Łatwiej i prędzej strawić można 3 jajka, lub ćwierć funta mięsa, niż „garniec kartofli, a pożytek dla ciała będzie zupełnie ten sam, podczas gdy kanał pokarmowy mniej się spracuje i nie tak prędko zużyje.

W dodatku po zjedzeniu wielkiej ilości mało pożywnej strawy — człowiek czuje ociężałość, jest nieruchawy, a przez to mniej jest do pracy zdatny i mniej zapracować potrafi. Dla tego to korzystniej jest dla zdrowia, a nawet i dla kieszonki naszej jeść pożywniejszą strawę.

Dobrze odżywionemu, a więc silnemu, porządnie pracującemu robotnikowi każdy chętnie więcej zapłaci, — wydatek na lepszą strawę wrócić się zatem musi.

Przekonali się o tem wieśniacy w innych krajach i taki chłop angielski nie rozumie już dzisiaj obiadu i śniadania bez mięsa, jaj i mleka. A właśnie te trzy rodzaje pokarmów są najpożywniejsze. Niestety jednakże ani mięsa, ani jaj wieśniak nasz prawie nigdy nie jada.

Niech więc gosposie nasze nie żałują jajka dla swoich, albo kilkunastu centów na mięso, a przekonają się, że nie tracą na tem.

Gdy chcemy, żeby koń dobrze robił, nie żałujemy mu owsa, dlaczego nie potralimy tak samo obrachować pracy ludzkiej?

Chłop na wsi zarobi 30—50 ct. dziennie, bo praca jego nie jest wydatną i po prostu większej zapłaty nie warta, — lepiej odżywiany, a przez to więcej mogący zrobić robotnik fabryczny zarobi 80 ct. do 1 guldenu dziennie, a nieraz i więcej.

Oprócz mięsa, jaj i mleka, pokarmami pożywnymi są jeszcze: bób, groch, fasola, pszenica i żyto, w postaci bułek i chleba: kukurydza i jęczmień w formie kasz różnych.

Ziemniaki tak powszechnie używane są bardzo mało pożywne i dla tego, chcąc się nasycić, zjadać ich musimy tak dużo. Przyjrzyjmy się dzieciom wiejskim, a zobaczymy wielkie, rozdęte naksztalt bębnów brzuszyny, bo karmione ziemniakami, dzieciaki zjadać ich muszą tak wiele, żeby na wszystkie potrzeby ciągle wrażliwego organizmu wystarczyć mogło. Stąd rozpycha się żołądek i kiszki, a dzieci mimo to rosną powoli i dziesięcioletnie wiejskie dziecko równe jest wzrostem pięciu lub sześciolletniemu innemu, dobrze odżywianemu dziecku z miasta.

Dobre są i ziemniaki, ale tylko, jako dodatek do mięsa, lub mleka, ale nie jako jedyne, nasze pożywienie. A kogo już stanowczo na mięso, mleko i jaja nie stać, niech je groch, bób, lub fasolę z ziemniakami na przemian. bo są dużo od ziemniaków pożywniejsze, a wyrosną bez trudu na tym samym gruncie, co się pod ziemniaki przyrzadza. Zresztą rośnie u nas dobrze tak wiele jarzyn, nieraz bardzo pożywnych, a wcale przez naszych włościan nie używanych, np. marchew, karpiele, lub kalarepa

i burak ćwikłowy. Tylko przyzwyczaić się do nich trzeba.

Dawac dziecku od małego różne jarzyny, a nie będzie ze zdziwieniem przypatrywało się jadłu bardziej urozmaiconemu, a przez to lepszemu dla naszego organizmu. „Ja tego jeść nie nauczony“ — odpowiada każdy wieśniak, przybywający do miasta na robotę. W ciągu kilku miesięcy przekonywa się wszakże, że można oprócz kapusty i ziemniaków jeść z pożytkiem dla zdrowia także i inne pokarmy. Powoli przestaje się opychać, je mniej, ale lepszej strawy, staje się zwinniejszym, ruchliwszym i z ociężałego, niezgrabnego parobka, wyrabia się zręczny, pracowity robotnik. A na tej zmianie korzysta także i rozum jego.

Człowiek źle odżywiany, zużywający dużo pracy na trawienie tej całej masy mało pożywnych pokarmów, nie może rozwijać swojego rozumu. Mózg jego nie pracuje, jest jakby odrętwiały; przy spożywaniu lepszej strawy, człowiek myśli prędzej, spostrzega łatwiej, staje się obrotniejszym, mądrzejszym. (C. d. n.)

ODEZWA

do kobiet pracujących wiejskich i miejskich.

Praca wzbogaca, mówią ludzie i widzimy, że bogacą się rzetelnie zawsze ci, co w pracy źródół swego dobytku szukają. Aby pracy użytecznej, która by dała chleb naszym ludziom, nauczyć, aby tę pracę następnie dobrze spieniężyć, i tą drogą dopomóc do rzetelnego bogacenia się ludu polskiego, zawiązała się w Krakowie przy Czytelnicy dla kobiet sekcya przemysłowa, od lat kilku i stara się przez urządzenie wystaw, odczytów, pośredniczyć pomiędzy tymi, którzy w przymyśle domowym pracują, a kupującymi, stara się zapoznać ogół z wyrobami naszych wieśniaków, gdyż każdy z nas wie dobrze o tem, że towar choćby najlepszy, niejednokrotnie nie znajduje nabywców, jeśli mało kto wie o nim.

To też, aby umożliwić zapoznanie się z towarem w kraju wyrabianym, sekcya przemysłowa urządziła w grudniu przed Bożem Narodzeniem wystawę robót ręcznych wszelakich sposobów i zwraca się w tym celu z prośbą do gospodyń wiejskich, by ze swej strony zechciały nadesłać okazy robót, jakie w ich wsi i okolicy wyrabiają. by zechciały zachęcić gospodarzy i robotników do przysłania nam na naszą wystawę prac ich. My z naszej strony gwarantujemy, że towar ten nie-

uszkodzony sprzedamy po cenie, jaką nań sami naznaczymy. Jeżelibyście przedmiotów tych nie miały na sprzedaż, prosimy być wymienić, po jakiej cenie i w jakim czasie, towar podobny na zamówienie może być wykonanym.

Przyjmujemy wszystkie okazy płócien cieńszych i grubszych, wszystkie okazy haftu na białym, płótnie, tybecie; koronki, sita, kosze, kapelusze, drewniane naczynie, toczony i hyblowane, również wycinane i rzeźbione, garncarskie naczynia, czapki włóczkowe, pończochy i skarpetki — jednym słowem wszystko, co może liczyć na zbyt w handlu.

Aby Szanownych gospodarzy i gospodynie zapoznać bliżej z naszymi staraniami około podniesienia przemysłu domowego, wkrótce zaprosimy was na wiec, na którym według waszych rad i życzeń rozpatrzmy jakich gałęzi przemysłu domowego, jakich rzemiosł i rękodziel uczyć dzieci po wsiach, aby w młodych latach nie potrzebowały opuszczać rodzinnego domu w poszukiwaniach za chlebem, aby i w zimie, która u nas częstokroć i przez pół roku w polu nie da pracować, można coś zarobić, i aby młodych próżniactwo nie ciągnęło do karczmy na pijatyki i bijatyki. A jak ręce i głowa pracą zajęte przez cały tydzień, to w niedzielę miły spoczynek na modlitwie przy pięknej książce, lub na pogawędce bez pomocy wódki, o której wiemy, z doświadczenia, że więcej przeszkadza jak pomaga rozwojowi pracy.

A zatem w Imię Boże, według boskiego nakazu „Modl się i pracuj“, prosimy Szanowne gospoście o pamięć i starania dla naszej wystawy.

Okazy lub zgłoszenie proszę nadsyłać pod adresem: Marya Siedlecka, Kraków, Szpitalna 7.

NASZE DZIECI.

Matczyne kochanie.

(Dokończenie).

Zacząłam czytać książki, które uczą jak chronić ciało i duszę dziecka od złego i pytałam starszych i doświadczeńszych ludzi o radę i mądrzejszych od siebie o pomoc prosiłam. A od nauki tej i od rady dobrych ludzi i od pomocy tych, co więcej wiedzieli odemnie, urosły moje skrzydła tak, że mogłam niemi osłonić moje dzieciątko od wielu niebezpieczeństw, od wielu cierpień i wiele zła. I wychowały się zdrowo i dalej ludziom i ziemi swej służyć będą, nie jak drapieżne jastrzębie, które krwią gorącą się

tuczają, ale jak dobre boże ptaki, które żyją na użytek sobie a komu.

A teraz tem co się nauczyłam i z książek i od ludzi i od łez moich gorących, których nie mało wylałam, podzielić bym się chciała z temi, co nie wiedzące są, jak ja byłam niewiedząca, kiedy przy kołysce pierwszego mego dzieciątka stałam z zaplecionymi rękami, medytując, czem ja je też od niebezpieczeństwa życia osłonię. A więc opowiem z kolei jak trzeba postępować, żeby zdrowe dziecię zdrowo na świat wydać, jak chronić je przez pierwsze dni, kiedy wąż jeszcze jest i słabutki, żeby je przy życiu utrzymać i od choroby uchronić, jak hodować je potem aż do chwili, kiedy przyjdzie do rozumu i uczyć się zacznie.

A potem postaram się wykazać i dowieść jak dobrą rzeczą jest szkoła, która pomaga do tego, żeby człowiek sam wiedział to, co mu wiedzieć trzeba, a nie potrzebował spuszczać się na innych. Opowiem także jak najłatwiej odzwyczajając dzieci od złych nałogów i nawyknień, a jakie enoty w nich rozwijać, żeby w życiu było im dobrze i innym z nimi także. Nakoniec postaram się pouczyć jak dzieci mogą i powinny rozmaitemi robotami swemi pomnażać dostatek w rodzinie i przyuczać się wcześniej do zapobiegliwości i radzenia sobie w każdej potrzebie, jak uczciwymi i trzeźwymi być.

Pragnę żeby słowa moje nauczyły choć część matek, które to czytać będą takiej miłości, jakiej mnie nauczyła... kaczka.

Ponieważ jestem już starą matką, mam więc dużo doświadczenia, przytem uczyłam się przez długie lata, jak obchodzić się z dziećmi, żeby chowały się zdrowo i były dobre. Proszę bardzo te wszystkie matki, które mają jakie z dziećmi kłopoty, żeby zwracały się do mnie za pośrednictwem redakcyi. Największą radość sprawią mi słowa: „mościwy, poradźcie mi też jak sobie z tem lub z owem począć“. Jeżeli będę wiedziała sama, to odpowiem zaraz, a jeśli nie będę mogła sama poradzić, to zapytam takich, co lepiej wiedzą odemnie i także zaraz odpiszę. Więc pytajcie, mościwy.

Matka.

Co jest ciekawe i pożyteczne.

Następuje jesień, a z nią słońce, zimno, a z niemi długie wieczory i inne zajęcia, inny sposób spędzania czasu. Siedzi się więcej w izbie i lżejszą ma się robotę. Urozmaica się ją gawędą, a ta również często urozmaicona bywa plotkami, zło-

śliwościami. Zabawia to czasem wyśmiać kogoś, pobawić się jego kosztem, ale zastanowić się, jaka komu z tego korzyść? Bo każda sprawa, każda rzecz powinna przynosić jakąś korzyść, mieć jakiś cel. Tak się dzieje wszędzie. Człowiek pracuje, żeby miał co jeść i w co się ubrać, wychowuje dzieci, żeby uczynić z nich uczciwych obywateli kraju, modli się i czyni dobrze, żeby zasłużyć na zbawienie duszy itd. Wszystko powinno dźać się „dla czegoś“, żeby z tego korzystał ktoś. A co komu z pustej gadaniny? Pewnie, że rodzina musi pomówić pomiędzy sobą o najdrobniejszych sprawach, ale to się robi z miłości, dla dobra członków rodziny, żeby im w czym pomódz, albo co doradzić, a z obcymi, jak zaczniemy ogadywać sąsiadów, albo pleść, co ślina człowiekowi na usta przyniesie, co z tego?

A przecież może być gawęda bardzo pożyteczna i przyjemna zarazem. Bo co tam za uciecha z plotek? na razie to można się pośmiać, ale potem każdego lepszego człowieka opanuje nieśmak i wstyd, że tak napróżno czas stracił, a jeszcze, broń Boże, komu zaszkodził, ujął mu dobrej sławy. I pomyśleć: nie wstyd że to omawiać po sto razy te same rzeczy, drobne, codzienne, kiedy świat taki duży, nieznan, a tak bezmiernie piękny i dziwny i ciekawy! Co to każda wioska, albo i miasto, wobec niezmiernie przestrzemi świata, który ciągnie się od nas we wszystkie strony, a nawet jest pod nami, na drugiej stronie naszej kuli ziemskiej.

I czego tam nie ma na tym świecie, jacy ludzie! I różnej barwy skóry i różne narody, inne zwyczaje, obyczaje, a miasta olbrzymie pełne cudów, jakie stworzyła nasza cywilizacja i nauka, a jakie pustynie ogromne, gdzie tylko wiatr szumi i piaski przesypuje, a gdzieindziej lasy ryczą lub morza, jeszcze stokroć większe, a w nich wszelakie dziwaczne zwierzęta, niepodobne do niczego, co po ziemi chodzi, a i gąbki, i korale, i perły. Co na świecie cudnych gór, co to szczytami opierają się w obłoki i rzek olbrzymich i lasów odwiecznych, pełnych tajemnych mroków i czeluści, i pól, i łąk, sięgających aż hen... po horyzont...

A poza cudami natury, ileż niezliczonych cudów wytworzyli ludzie: koleje żelazne, telegrafy na ziemi i pod wodą, tysiączne maszyny, fabryki itd. itd.

Zycie człowieka nie wystarczyłoby na obejrzenie całego tego bezmiernego mnóstwa cudów i dziwów, a wreszcie nie każdy może jeździć i oglądać, ale jest przecie inny jeszcze sposób poznania, wszak i wysłuchana opowieść i prze-

czytana książka nauczą nas wielu, wielu ciekawych rzeczy! A gdy się wysłucha, jak to inni ludzie żyją i co się dzieje na dalekim świecie, to zaraz się w głowie jaśniej robi, jakby kto promień słońca wprowadził, inaczej człowiek myśli, inne rzeczy jego obchodzą, żyje szerszem życiem. Bo czy nie smutne to, jeśli człowieka przez całe życie interesują tylko cztery ściany izby, i podwórko jego, i ogród warzowny; pewnie, bez tego żyć nie można, ale nie zasklepiac się jedynie w tem ciasnym kółku, wybiegać też czasami trzeba myślą, uczuciem na jasne pole, skąd cały świat widać! A to jasne pole — to nauka, to wszelakie wiadomości, to słowo Boże!

Zawsze się zdarzy człowiek, co widział świat, co więcej umie, więcej czytał, lub słyszał — niechby więc opowiedział co ciekawego!

A jeśli niema nikogo takiego, co by mógł nauczać, zawsze można dostać książkę, albo pismo i dowiedzieć się stamtąd rzeczy, których inaczej przez całe życie nigdy by człowiek nie wiedział.

Ale trzeba „umieć“ czytać, to jest rozumieć książkę, a najczęściej czyta się dla zabawy i odnosi się daleko mniejszą korzyść, niżby to być mogło przy umiejętnem czytaniu; więc nie tracić czasu, ale na prawdę brać się do pracy nad sobą, nad swoim umysłem, a i kobieta niemniej od mężczyzny! Bo im więcej kobieta umie, tem lepiej wychowa swoje dzieci, tem lepiej je nauczy i przygotowuje do jeszcze większej nauki, niż sama osiągnąć mogła!

Prawda, życie ludzkie krótkie, ale zawsze dużo zdziała ten, kto dąży, kto nie chce być ostatnim, ale chce zająć tak wysoko, jak tylko mu okoliczności i zdolności pozwolą! Miłość, zwłaszcza ambicya będzie hiczem, a chęć poznania świata kierownikiem. A jeśli sami nie zdołamy wznieść się dość wysoko pod względem umysłowym, to przygotowujemy grunt dla dzieci naszych, które od kolebki inaczej będą chowane, niż my, będą wdrażane do nauki i staną się kiedyś równymi najwyższatenczym ludziom w kraju.

Środek przeciw dyfteryi u drobiu.

Wiele razy zdarza się w gospodarstwie ko-biecem, że drób zdycha, a gospodyni nie wie na co. Zdechło! ano, zdechło, wyrzuci się na gnojownik lub śmietnik i rzecz skończona. Tak

po większej części postępuje się w naszych włościańskich gospodarstwach. Nie zajrzy się biednemu ptakowi, na co może być chory, bo klóży tam sobie z głupią kurą tyle ambarasu robił. A przecież drób stanowi dość znaczny przedmiot w gospodarstwie rolnem, zwłaszcza gospodarstwie kobiecem. Niejedna gospodyni piękne pieniądze wzięła za jaja i kurczęta, czemu więc nie otoczył cokolwiek większą troskliwością poczciwego drobiu, a szczególnie czubate i gładzące nasze kwoczki? Gdy się więc zauważy, że kura smutna, jeść nie chce, trzeba ją zrewidować, czy nie ma w gardle grzyba, to jest gardzieli zarosłej, jakby flegmą szaro-białawą. Flegma ta jest grzybem dyfteryi, a środek przeciw niej bardzo prosty. Cierpiącemu ptakowi otwiera się dziób i rzuca się kawałek szarego mydła wielkości połowy orzecha laskowego w gardło. Mydło to obśusza się samo, a skoro zacznie dotykać krtani, należy ręką z zewnątrz gładzić szyję tak, jakby się chciało to mydło popchnąć. Skutkiem owego gładzenia, mydło się rozmazuje po całej gardzieli i chorych miejscach, poczem puszcza się płaka, a z ślinami odchodzi i grzyb. Po kilku dniach ptak zdrowy i okazuje ogromny apetyt. W początkach choroby zadaje się powyższe lekarstwo osiem razy dziennie, później dwa razy, w końcu raz, tak długo, aż grzyb z gardzieli zupełnie zniknie. Środek ten zastosował u siebie i wypróbował p. N. Gebe i jako nader skuteczny ogłosił w piśmie poświęconem dla hodowców drobiu.

10 reguł, jakich trzymać się należy przy hodowli drobiu.

1) Wstawaj wcześniej i osobiście dopilnuj oprzątania drobiu — aby wszystko co potrzeba dokładnie było zrobionem.

2) Zapisuj ściśle wszelkie dochody i rozchody z drobiu.

3) Nie kupuj nigdy drobiu od handlarzy. Sam sobie wychowaj stado na użytek, a wtenczas będziesz miał z drobiem i użyteczne ptactwo. Jeżeli zajdzie zakupna potrzeba, nabądź drób od dobrze ci znanego hodowcy.

4) Staraj się mieć drób noszący się dobrze przez całą zimą. Osiągniesz to przez staranie o wczesny wyłęg drobiu. Jak wiadomo, płacą jaja w zimie najlepiej.

5) Odpasaj drób regularnie w pewnych godzinach, a nigdy nie zadawaj paszy zepsutej. W zimie dawaj rana karmę miękką (gotowane

kartofle i różne z kuchni odpadki, nieco ogrzane), wieczorem natomiast odpaś ziarnem.

6) Utrzymuj w kurniku jaknajwiększą czystość — aby uniemożliwić zapalenie się robactwa. Miał wapienny zapobiega zagnieżdzeniu się robactwa, a więc używaj go do oczyszczania kurnika. W zimie utrzymuj kurnik dosyć ciepło. I w zimie powinny mieć kury sposobność do grzebania.

7) Co drugi rok postaraj się o nowego koguta, w celu odświeżania krwi, ponieważ wiadomo, iż hodowla w pokrewieństwie jest nader szkodliwą. Na 1 koguta nie więcej jak 10 kur powinno przypadać.

8) W celu rozpoznania wieku kur, trzeba je z n a c z y ć za pomocą obrączek, które się nakłada na nogi ptactwa. Kura powinna być w 4-tym roku usunięta ze stada, (najlepiej utuczyć i wziąć pod nóż lub sprzedać). W 4-tym roku znacznie mniej kura się nosi i nie opłaca się więcej.

9) Codziennie wybieraj jaja z gniazd i przechowuj je w miejscu chłodnem, przewiewnem.

10) Pisklęta pasz pożywnie, a będą ci z pewnością szybko rosły.

Nie dawno temu napisaliśmy dłuższy artykuł o hodowli kur. Ze względu na wielką wartość racjonalnego prowadzenia hodowli drobiu, podajemy i dzisiaj jeszcze powyższych 10 reguł hodowli z poleceniem, aby Sz. Czytelniczki zechciały z takowych korzystać. „Racjonalnie“ przeprowadzona hodowla znacznie przynosi dochody.

O obowiązkach gospodarza-rolnika.

(Wykład p. Józefa Królaka II., gospodarza z Szymborz, sekretarza Kółka rolniczego w Łojewie, pod Inowrocławiem, wygłoszony na tegorocznem Walnem zebraniu delegatów Kółek roln. w Poznaniu.)

Pan Bóg stwarzając człowieka, dał mu duszę nieśmiertelną, rozum, wolną wolę i przeznaczenie. Przeznaczenia człowieka są rozmaite. Jeden ma skłonność do pióra, drugi do rzemiosła, inny zaś do pracy w roli czyli do rolnictwa.

Piękny zaiste i szlachetny ten stan rolnika! Gdy n. p. w pięknym dniu wiosennym, widzi się to pole pełne zieleni i kwiatów, te kołyszące się zboża, i słyszy skowronka przesłaniczne głosy, który słodzi niby pracę pracującego rolnika, to prawdziwy zachwyt nas przejmując.

Lecz rolnictwo jest to przedsiębiorstwo nie tak łatwe, jak się na oko zdaje, każda rzecz w niem ma swoje przeznaczenie, a wszystkie razem służyć mają gospoda.

rzowi, aby za ich pomocą osiągnął ze swego gospodarstwa jak największe dochody.

I tak najpierw obowiązkiem twoim jest p o z n a ć tę ziemię, na której pracujesz. Różne mamy rodzaje roli: czarnoziem, glinę, szcerk, piasek, jako też i różne ziemie torfiaste. Urodzajność roli zawisła także od dolnej warstwy ziemi, czyli od podglebia. Spód piaszczysty u lepszej roli nie jest korzystny, tem mniej jeżeli piasek na wierzch się wydobywa. Lecz również niekorzystny jest spód z ściślej gliny w tęgiej roli. Przez ściśłą glinę nie może przesiąknąć zbyt duża woda, z tą rodzą się kwasy, rola staje się zimną, a skutkiem tego jest nieurodzajność. Tu więc konieczne jest drenowanie. Najlepiej kiedy u silnej gleby dolna warstwa składa się z lepszej, przepuszczalnej ziemi, u lekkiej zaś, kiedy spodek składa się z gliny. Stosownie do pokładu i jakości ziemi musi gospodarz umieć oznaczyć sposób i czas uprawy, gdyż rola nie w stosownym czasie uprawiana, zepsuje się i ciężko ją potem doprowadzić do jej dawniejszej wydajności.

Celem uprawy jest, aby rola była czystą, należyte rozłożoną i aby miała w dostatecznej ilości pokarmy roślinne. Uprawa zaś roli nie ma stałych praw, bo zawisła od urodzaju, od stopnia jej kultury, a wreszcie od stanu powietrza. Orać można w zagony, w składy, a nawet bez żadnych bródz. Bródz są potrzebne, gdzie rola zimna i sapowała, a przedewszystkiem tam, gdzie powinno być, a nie jest drenowana. Bródzami bowiem odcieka zbyt duża woda, a przez wyniosłość zagónów lub składów, wystawia się rolę na większy wpływ powietrza i słońca.

Zagony lub składy powinny, jeżeli spadek i położenie pozwala, leżeć od południa ku północy, aby słońce i ciepło z obu stron wpływ wywierać mogło. Na wiosnę nie trzeba roli orać, kiedy jest tak mokra, iż się maże, bo rola mokrą orką i mokrem bronowaniem się zepsuje. Jeżeli ktoś przechodzi do głębszej uprawy, powinien zachować jak największą ostrożność, aby od razu nie wyłostać na wierzch tej warstwy nieurodzajnej.

Uprawiać ziemię możemy bez końca, lecz jeżeli mierzwy nie ma — nie będzie owocu. Sposoby zasilania ziemi mamy rozmaite: I. za pomocą nawozów stajennych (kloaki), II. za pomocą nawozów sztucznych, III. za pomocą nawozów zielonych.

Najważniejszym nawozem jest nawóz stajenny, czyli bydlęcy i o takowy każdy gospodarz jaknajwięcej starać się powinien. Żyjący inwentarz daje nam mierzwę w połączeniu ze słomą lub z inną podściółką. Nie tylko gnoj jest mierzwą, ale tak samo i uryna, dla tego głównie uważać trzeba, aby przy dostatecznej i stosownej podściółce uryna nie uciekała, jak się to po większej części dzieje.

Mierzwa stajenna jest dla tego tak drogocenną, że zawiera w sobie azot, kwas fosforowy, potaż i wa-

pno. Ponieważ azot jest lotny, powinno być staraniem troskliwego rolnika zatrzymać go w mierzwie. Zapyta więc może niedejen, jak by temu zapobiedz, aby tak drogi składnik pozostał w mierzwie a nie ulatniał się w powietrze? Najskuteczniejszy sposób na to, aby ani uryna nie ginęła, ani azot się nie ulatniał jest, słać słomę w połączeniu z ziemią lub murszem pod inwentarz.

Ziemia lub prószę torfową, przeznaczone na podściółkę, muszą być w suchym stanie. Przez przesypanie gnoju ziemią, osiąga się również to, że gnoj się nie pali i o wiele lepiej się konserwuje.

Każdy gospodarz ma w swoim gospodarstwie różne pokłady ziemi, więc chodzi o to, aby gatunek mierzwy użyć stosownie do gatunku roli. I tak, mierzwa bydlęca jest chłodząca, dlatego nie dobra na rolę zimną lub ściśłą. Kto jest w posiadaniu ziemi lekkiej, nie powinien samej końskiej mierzwy w pole wywozić, ale ją z bydlęcą już w oborze mieszać i zamienić na mierzwę chłodzącą.

Mierzwę wywozić można na pole w każdym czasie. Dawniej sądzono, że z rozrzuconego gnoju wyciąga powietrze wszelką siłę. Dziś zgodziła się teoria z praktyką, że rozrzucona wśród zimy mierzwa, nie tylko, że nie traci nic pod względem ilości i jakości, ale ściga z powietrza azot i przywłaszcza go roli.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Roboty na grudzień.

Skoro mróz uderzy, nie odciegać się z młócką zboża. Zależnie od stanu powietrza, można wywozić mierzwę, szlam, margiel, robić komposty itd. Wtedy zresztą główną uwagę się zwraca na utrzymanie i paszenie inwentarza.

Utrzymać ciepłą temperaturę w stajniach (+ 12^o/10 Reaumura). Dbać o czystość. Konie i bydło czyścić grzebłem i szczotką. Paszę trzeba odpowiednio dobrać. Inną dla krów dojnych, inną dla opasów i t. d.

Tak naprzykład trzeba dobrać paszę dla krów mlecznych tak, aby składniki pokarmowe azotowe i bezazotowe mieściły się w stosunku jak 1 do 5 (1 : 5). Jeżeli zawiera pasza więcej mączystych składników (bezazotowe), co naprzykład się zdarza przy paszeniu bydła kartoszlami, bez odpowiedniej dawki paszy silnej (azotowej czyli białkowatej), to mączka nie zostanie należycie strawioną. A zatem ponosi się znaczną stratę.

W lesie ścina się drzewo i zwozi, nieraz już w tym miesiącu można lód zwozić do lodowni.

Kilka wskazówek dla rolników przed zimą.

Czynnością niezbędną, a nader ważną dla rolnika jest obliczenie zapasów paszy, ściółki i zastanowienie się nad tem, czy zdoła przezimować swój inwentarz.

Przystępując do tej czynności, powinien pamiętać, że:

1) lepiej mieć jedną sytą, dobrze wyżywioną i wogóle dobrze utrzymaną krowę, niż dwie nędzne i głodne krowiny.

2) że jednym dobrze wyżywionym koniem więcej roboty wykonać można, niż parą chudych, głodnych szkap.

3) że więcej wyrostu i pożytku na jednym dobrze żywionem cielęciu mieć będzie gospodarz, niż na 2 lichu utrzymanych.

Wszystkie te zasady opierają się na tem, że karma, zadawana zwierzęciu ma dwa zadania do spełnienia. Pierwszem jest utrzymanie zwierzęcia przy życiu, drugim dostarczenie mu możności na wytworzenie mleka, przychowku, mięsa i pracy.

Jeżeli przeto bydłociu damy tylko tyle karmy, ile wyżywienia potrzebuje, to nie może ono nic wytwarzać, a gdy mimo to zostanie do niektórych robót przymuszone, to odbywa się to kosztem zdrowia bydłociu. Dlatego to krowa cielna, przymuszona przez naturę do odżywiania cielęcia w swem łonie, koń siłą przymuszony do pracy — chudną przy złem i nieodpowiednim żywieniu, a gdy to trwa dłużej, uleci muszą wyniszczeniu. Chcąc przeto wytwarzać mleko, przychówek, mięso, czy też siłę u zwierzęcia, trzeba mu dać ilość karmy do wyżywienia potrzebną i dodać do niej odpowiednią ilość dodatkowej karmy. Dopiero wtedy żądać ma gospodarz prawo, by mu karma wytworzyła to, czego potrzebuje, i spełnia to zadanie, dla którego ją bydłociu dano.



Siedm sekretów (tajemnic) w pszczelnictwie.

Jak w każdym zawodzie, tak i w pszczelnictwie są pewne sekreta, których ściśle przestrzegać należy, chcąc mieć dobre powodzenie. I tak:

Sekret pierwszy. Trzymać tylko silne pnie. Jedyne silny pień może dać niezawodny dochód i zyski, słabe zaś pnie mogą nam zjednać jedynie kłopot i wydatek. Dlatego słabe pnie należy albo szybko naprawić i wzmocnić, albo też połączyć z innymi. Jako silne uważamy w ulach słowiańskich takie pnie, które

w czasie miodobrania mają 7 do 8 ramek zaczerwionych, i w których pszczoły nie tylko obsiadają wszystkie 10 ramek na czarno, ale wiszą jeszcze pod ramkami brodą.

Sekret drugi: Mieć zapasowy miód. Przewrotny pszczelarz powinien być zawsze przygotowany na to, że może zaskoczyć go nieprzyjemna dla pszczoł wiosna. Że zaś nadmiernej ilości miodu nie należy pniom dawać na zimę, przeto powinniśmy mieć miód zapasowy albo w plastrach, albo też w naczyniach w schowku, aby w razie potrzeby miał czem pszczoły zasilić. Ten zaś pszczelarz, który woli wszystkie miód zbywający sprzedać, powinien pewien zasób grosza odłożyć na kupno cukru w razie potrzeby.

Sekret trzeci. Przynosić pszczołom pożytku. Do tego celu prowadzą dwie drogi: a) przewożenie pszczoł na czas pewien w takie miejsca, gdzie kwitnie wielka ilość jednej i tej samej rośliny, n. p. między hreczki, rzepaki, pola z koniczyną szwedzką, esparcettą, do lasów lipowych i t. p., b) sadzenie w sąsiedztwie pasieki drzew miododajnych w większej ilości i zasiewanie na wielkich przestrzeniach roślin pastewno-miododajnych. z których jest pożytek tak dla bydła jak i dla pszczoł, n. p. koniczyny szwedzkiej, białej, inkarnatki, rzepaku, gorczycy, hreczki, esparcetty, seradeli, wyki, bobiku i t. d. Zasiewanie roślin chociażby bardzo miodnych w małej ilości, nie przyda się na nic, również nie jest wskazaniem zasiewanie na większą skalę roślin takich, które są wprawdzie miodne, lecz nie dają dla gospodarstwa oprócz miodu jeszcze innego pożytku, jak n. p. ogórecznik, wiazanka (phacelia), lepnica, rojownik, pszczenik, rezeda i t. p.

Czwarty sekret: Przedsiębrać wszelkie czynności w porę. Przy żadnej gałęzi gospodarstwa nie mści się tak niedbalstwo, jak przy pasiece. Zaniedbanie nieraz jednego dnia pracy w pasiece, może nas przyprawić o całoroczną stratę. Dla tego też pszczelarz powinien jak najskrupulatniej wyzyskiwać zawsze właściwą porę i nigdy nie odkładać żadnej czynności na później. Tak np. zabłąsnał piękny czas wiosenny. Pszczelarz ociężały odkłada przegląd pni z dnia na dzień, wreszcie już się zdecydował zabrać do pracy, gdy w tem pociągnęła stola i zimno i większa część pasieki z głodu zginęła. Albo też: zbliża się miodobranie trzeba matki skasować, leniuch odkłada tę dość męczącą robotę z dnia na dzień, naraz zapanował okres słotny i wyłapanie matek przepadło, a z niem i pożytek z miodobrania. To znowu odkłada wyłapanie mateczników do ostatniej chwili. Był dzień pogodny, można było się ze wszystkim uporać, ale wrodzony leniuch szepce do ucha: „zrobi się to lepiej po południu”, popołudnie nadeszło, lecz z niem trzydniowa pluta: wreszcie zajaśniała pogoda, a z nią syknęły się roje, jak z rogu obfitości, połowa z nich poleciała w świat, a nadto i korzyści miodobrania przepadły.

A ileż to razy trafia się, że leniwy pszczelarz odłoży uregulowanie pni na zimę, na czas późniejszy, pora przyjazna minie, nastanie zimno i słota, a następstwem tego jest albo wielka mitęga, albo znaczny ubytek pni źle zaopatrzonych. Dla tego stałem hasłem dla pszczelarza dobrego powinno być zawsze: „Co masz zrobić jutro, zrób o ile możności dziś“, a w każdym razie: „nie baw się w odkładanego“.

Piąty sekret: Przygotować robotnika i ograniczyć czerw na czas miodobrania. Tylko wtedy możemy mieć dobry pożytek z pasieki, gdy na czas miodobrania będą pnie miały jak największą siłę i gdy czerw nie z jednej strony przeszkadzał wytrząsaniu miodu, z drugiej zaś nie będzie zaprzętał robotnika pielęgnaniem siebie.

Sekret szósty. Odpowiednie użycie miodarki. Miodarka, to przyrząd w dobrze prowadzonej pasiece nieoceniony, lecz za to w rękę łakomego lub niesumiennego pasiecznika brzytwa przecinająca nie życia miliardów istot pszczelich. Dlatego to pszczelarz poważny powinien w użyciu miodarki być bardzo oględnym, aby potem nie potrzebował łątać tego, co w nierozwadze źle zrobił.

Sekret siódmy: Zimować pszczoły chłodno bez podawania wody, lub ciepło, lecz ciemno i z podawaniem wody.

Kto powyższych sekretów sumiennie przestrzegać będzie, ten nie będzie się nigdy żalił, że mu się pszczoły nie wiodą i że nie ma z nich pożytku.



O kianiee.

Jedną z bardzo rozpowszechnionych chorób, postępujących nieraz całe pola koniczyny, jest kiania. Jest to roślina pasożytna, która nie może się żywić inaczej, jak tylko ciągnąc soki z innych roślin, w które się wpija ssawkami, czyli swoimi korzonkami. Oplątawszy więc roślinki koniczyny, wysysa z nich soki i niszczy doszczętnie.

Gdy się już kiania na polu pojawi, to walka z nią jest bardzo trudna. Tej koniczyny, która została przez kiankę już napadniętą, uratować właściwie niepodobna, można tylko postarać się o to, by zniszczenie umiejscowić, t. j. nie pozwolić mu się dalej rozprzestrzeniać. Że zaś kiania jest nadzwyczaj żywotną i plenną, trzeba więc użyć na nią środków bardzo energicznych, a więc: ścinać całe miejsce napadnięte i wypalić je dokładnie lub przekopać miejsce zniszczone, zabierając jeszcze naokoło pasek zdrowej koniczyny.

Radzą także zalewanie wrzącą wodą lub posypywanie wapnem świeżo zlasowanym albo solami gryzącemi. Są to jednak sposoby kosztowne i kłopotliwe, a dające ten sam skutek co i dokładne przekopanie.

Wszystko to jednak zniszczonej koniczyny nie wróci. Aby zaś pola nasze ustrzedz skutecznie od pojawienia się na nich kianki, mamy jeden tylko środek naprawdę pewny, a tym jest, unikanie wysiewania kianki razem z koniczyną. Kiania ma nasiona tej samej wielkości co i koniczyna, bardzo łatwo jej nie rozpoznać i wysiać sobie chorobę na pole. Dlatego więc trzeba używać nasienia koniczyny tylko zupełnie pewnego. Jeżeli zbieramy sobie sami nasienie do siewu, to trzeba je brać koniecznie z pola zupełnie wolnego od kianki, bo i przy starannem nawet czyszczeniu koniczyny, nie możemy nigdy mieć zupełnej pewności, czy nie pozostało jakieś szkodliwe ziarno, które wystarczy do wywołania choroby. Podają wprawdzie różne sposoby na oddzielanie kianki od koniczyny, ale zawsze najpewniejszym będzie użycie nasienia z pola, na którym kiania nie było.

Ze sposobów oddzielania kianki, o czem wspomniałam, jeden polega np. na tarcu nasienia i przesiewaniu przez sito; łuska na ziarnkach kianki łatwo pęka, wskutek czego te wypadają i przesiewają się przez sito. Inni znów polecają wrzucać nasienie do wody, a ziarnka kianki, jako lżejsze, pozostaną na wierzchu i łatwo je wtedy usunąć; ziarna zaś koniczyny, które na spód opadły, trzeba pomału wysuszyć i dopiero użyć do siewu. Są też specjalne młynki do oddzielania kianki, lecz dla małych gospodarstw są te przyrządy zbyt kosztowne.

Najczęściej włośnianie nasienia koniczyny nie zbierają sami, ale je kupują. Ołóż przy kupnie pamiętać należy, by zwracać się tylko do składów nasion znanych i pewnych, albo też na spółkę z sąsiadami sprowadzić większą ilość, np. za pośrednictwem Kółek rolniczych, żądając od sprzedającego wykazania się świadectwem Stacyi oceny nasion we Lwowie.

Nigdy zaś nie należy kupować nasienia koniczyny na garncie od przekupniów lub handlarzy, bo wówczas nie będziemy pewni, czy nasienie wogóle wszędzie, lub czy wraz z niem nie zasialiśmy nasienia zdradliwej kianki, która zniszczy nam plon oczekiwany.

Dodam tu jeszcze, że kupując od handlarzy, nabyć często można nasienia koniczyny amerykańskiej, która wydaje u nas zbiór całkiem lichy, a jako tańsza, często przez nieuczciwych handlarzy bywa kupującym podsuwaną.

B.



Kochani Czytelnicy i Czytelniczki „Przodownicy“.

Otrzymaliśmy z Westfalii przykrą wiadomość, którą Wam podajemy, ażebyście wiedzieli, jak to Prusak przesładuje naszą mowę polską i naszą świętą religię katolicką.

Oto, co pisze nam jeden z osiadłych tamże Polaków.

„Zapowiedziany wiec Polek w Ikendorfie w Westfalii nie odbył się. Policya zabroniła tego zebrania i to w ostatniej chwili, gdy zamieszkuje tamże Polki tłumnie się zebrały, oczekując z niecierpliwością rozpoczęcia obrad.

Cieężko jest żyć człowiekowi w ciągłej męce i przesładowaniu, to też na tym wiecu niewiasty polskie chciały uzalić się, wypowiedzieć co ich boli i gnębi, porozumieć się między sobą i naradzić nad swoją smutną dolą. Na wiecu tym miano upomnieć się o księży Polaków, bo ich tu nie ma i postanowić, jak chronić dzieci polskie przed wynarodowieniem. Cel był ważny, zrozumiwały go dzielne nasze Polki i stawily się bardzo licznie. Prusacy przeszkodzili. A czemu — czy się bali kobiet?

Rzeczywiście boją się oni wpływu kobiet na synów, braci i mężów swoich. Wiedzą oni dobrze, że żadna moc nie przemoże kobiety, kiedy ona staje w obronie swoich najświętszych praw i obowiązków. Przeraziło więc Prusaków to uświadomienie i rozbudzenie uczuć patriotycznych u tutejszych polskich niewiast i zniweczyli bezprawnie cały zamiar i staranie w tym celu podjęte.

Ale nie zniweczą oni naszych uczuć narodowych, które raz rozbudzone, jętrzone ciąglem przesładowaniem, wzmogą się w siłę odporną i wyteżą do pracy dla sprawy narodowej. To też nasze Polki rozeszły się z silnem postanowieniem gorliwej czujności na tem, by ich dzieci kształciły się w ojczystym języku i nie zatraciły wiary świętej ojców swoich.

Niechaj wrogowie pamiętają słowa naszej ukochanej najznakomitszej wieszczki Maryi Konopnickiej, która w swym przecudnym wierszu mówi wprawdzie do Ślązaków, ale wiersz ten odnosi się do całego ludu polskiego:“

„I poczuł Ślązak w żyłach krew,
I poczuł nowe siły.
I zmartwychwstania wznosząc śpiew,
Podźwignął się z mogiły!“

„I dźwiga się z zbyt długich snów.
Po ciężkiej dusznej męce,
Do matki — Polki oto znów,
Wyciąga obie ręce“.

Boitrop, dnia 26 października 1901 r.

N. N.



ROZMAITOŚCI.

Z całej Polski. Rząd rosyjski niesłychanie obostrzył dozór nad drukami z Galicyi. Ks. Krakowskiego i Poznńskiego, przychodzącemi pocztą. Każdy druk przesłany za opaską, tak jak zwykle pisma drukowane się przesyłają — zwracają, lub też oddają do cenzury.

Dnia 26 października — pisze *Przegląd Wszechpolski* — otwarto w Warszawie 36-tą ochronę Towarzystwa Dobroczynności. Z uroczystością poświęcenia połączono święto sadzenia drzewek i uproszono do dokonania ceremonii X. prałata Matuszewicza. W chwili gdy ostatni, w asystencyi, dwóch młodych księży ceremonię wobec licznie zebranej publiczności odprawiał, wpadł do ochrony dozorca policyjny i oświadczył, że na uroczystość pozwolenia od władzy niema i zmusił prałata do przerwania ceremonii i zdjęcia szat kościelnych. Tymczasem pozwolenie przez biuro generał-gubernatora było udzielone, tylko władze policyjne nie były wczas powiadomione. Po sprawdzeniu tego, ksiądz napowrót wdział szaty i przystąpił do dokończenia ceremoniału. Zdarzenie to jest ciekawym obrazem nadużyć i przesładowań. Zwykły pachołek przysłany przez policyę, nietylko okazał lekceważenie dla zgromadzonej publiczności, ale znieważył religię...

Zarząd poczt w Poznaniu rozkazał listonoszom posyłać także wszystkie listy przychodzące z zagranicy z polskimi adresami, do biura tłumaczeń *Uebersetzungsstelle*. Będą więc one tak samo, jak listy wewnętrzne leżały po 3—4 dni na poczcie zanim poczcie spodoba się je doręczyć. Dotychczas władze pruskie nie odważyły się na podobne postępowanie z listami pochodzącymi z państw innych. Według ostatnich wiadomości również czasopisma polskie, nadchodzące z Galicyi i Królestwa, leżą po parę dni na poczcie. Słowem dzieją się rzeczy, których możliwości nikt dotychczas w cywilizowanym świecie nie przypuszczał. Wobec, że język polski jest uznany w korespondencyi międzynarodowej przez międzynarodowy związek pocztowy, należy się spodziewać, że rząd austriacki zechce się w tej sprawie w sposób stanowczy odezwać. Do Koła Polskiego we Wiedniu należy pilnować go, ażeby ten obowiązek spełnił.

We Wrocławiu aresztowano znanego dziennikarza, p. Kazimierza Rakowskiego, redaktora poznańskiej *Pracy*, zamieszkującego stale w Galicyi. Oskarżony jest o powrót w granice państwa pruskiego, z którego jako „uciążliwy“ obcy (rosyjski) poddany, został wydalony, oraz o autorstwo szeregu artykułów, sprzecznych jakoby z prawem. Prasa galicyjska nieustannie się tem aresztowaniem zajmuje, podając coraz to nowe szczegóły sprawy, i dobrze czyni, bo o gwałtach naszych ciemiężców powinniśmy powiadać ogół jak najszczęśliwiej, przypominać o nich jaknajczęściej.

Według urzędowego dziennika pruskiego, dwójgu osmioletnim dzieciom w Bydgoszczy na ich życzenie (!) zmieniono nazwisko „Rybakiewicz“ na „Becker“. Nie wiadomo, co tu więcej podziwiać, czy niemiecką mądrość dzieci osmioletnich, czy niemiecką głupotę urzędników.

Z gimnazjum chełmińskiego, na mocy postanowienia prowincjonalnego kolegium szkolnego, wydalono wszystkich uczniów, skazanych w procesie toruńskim, w ogólnej liczbie 13.

W W. Ks. Krakowskiem i w Galicyi w październiku przeprowadzono wybory do Sejmu i Rady państwa. Ucisk podatkowy coraz dotkliwiej uczuwać się daje. Mimo to ludzie dobrej woli organizują się w stowarzyszenia, myślą i pracują nad polepszeniem bytu ludu naszego przez tworzenie Towarzystw przemysłowych, urządzenie wystaw zbytu pracy, zakładanie szkółek zawodowych. Inni zaś pracują nad zbieraniem funduszu na szkoły ludowe, czytelnie i t. d. Obecnie walka o Morskie Oko zaczyna coraz więcej zajmować ogół polski, bo książę Hohenlohe, zacięty wróg Polski, zabiera nam ziemię w najcudniejszej okolicy.

W listopadzie niezwykle uroczyste obchodzono rocznicę powstania 1831 r. po miastach i miasteczkach Młodzież akademicka, zorganizowana w Koła Tow. „Szkóły lud.“ wydała na cześć poległych za wolność wspańiałe wieczorki, odczyty i t. d. W październiku uczczono pamięć Tadeusza Kościuszki, tego „co nie hołdował pysze i potędze“, lecz stawał w szeregu chłopów i „chodził w ich sierniędze“.

W Leszczynach pod Białą założoną została szkołka polska.

Leszczyny leżą tuż pod Białą. Zaznaczyć wypada, że właściciel domu, w którym szkołę otwarto — chłop, czynił co mógł, by ułatwić założenie tam szkoły polskiej. Należą się takim dzielnym Polakom wyrazy szczerzego uznania.

W Zaleszanych w powiecie tarnobrzeskim odbyła się wystawa panowała pod każdym względem zadawalniająco. Z działu rolnictwa były ogromne buraki dla bydła, olbrzymie dynie. Z działu przemysłowego były piękne wyroby tkackie, hafty dziewczątek szkoły z Wielowsi. Wyroby koszykarskie ozdobne i zwykłe. Z działu gospodarczego przemysłu były śliczne ule

oszkłone i inne. Były i piękne okazy koni, świń i bydła rogatego, z którego było rasy polskiej t. z. czerwone najwięcej się podobało. Czego tam nie było! Było tam wszystko, czego powiat dostarczyć może. Otóż takie wystawy powinny wszystkie powiaty choćby raz na dwa lata urządzać i wyznaczać nagrody dla tych dostawców, którzy najpiękniejsze dostawią okazy.

Krakowskie Koło pań Tow. „Szkóły lud.“ obecnie zajmie się wyłącznie budową szkół ludowych i zakładaniem czytelnik polskich na Śląsku austriackim.

„Czytelnia dla kobiet“ w Krakowie, tym wszystkim, co pragną by w ich gminach czytelnie powstawały, dopomaga przez wysyłanie książek. Obecnie sekcyja czyli pewne grono członków tego Stowarzyszenia zajmie się urządzeniem wystawy gwiazdkowej, a potem założeniem wielkiego sklepu ludowego w Krakowie.

Na Śląsku austriackim praca i ruch w kierunku uświadomienia narodowego i zdobywania sobie praw należnych wznaga się niemal z dniem każdym. Szkoły polskie ludowe powstają (w Cieszynie). Czytelnie polskie świetnie się rozwijają i coraz to nowe zakładają (w Koniakowie, Fryszlacie).

W Mor. Ostrawie odbyło się Walne Zgromadzenie Tow. Domu Polskiego. Dom Polski dzięki energii założycieli mimo niezwykłych niepowodzeń ciężką, ale wytrwałą walką utrzyma się i będzie schroniskiem dla polskiej szkoły, czytelnik, teatrów ludowych, zgromadzeń i t. d.

Towarzystwo „Uniwersytetu ludowego“ im. Adama Mickiewicza, pragnąc rozszerzyć swoją działalność, przysięga do wydawnictwa broszurek popularno-naukowych, wydawanych staraniem krakowskiego oddziału Towarzystwa. W ciągu roku ukaże się ośm książeczek, cena każdej wynosić będzie 10 halerzy. Pierwsza książeczka wyjdzie w listopadzie, zawierać będzie opowiadanie o rozbiarach Polski, pióra p. Maryi Wystouchowej.

Pieśń niewolnika, w poprzednim numerze zamieszczona jest napisana przez Adama Asnyka, parę lat temu zgastego, jednego z największych tegoczesnych poetów naszych. Obraz przedstawia niewolnika greckiego. W czasach bardzo dawnych, jeszcze pogańskich, ludzi — jak wiecie — zabierano do niewoli. Kupowano ich lub też pobitych w wojnie zamieniano w niewolników. Człowiek taki był pozbawiony zupełnie swobody i własnej woli. Obchodzono się z takim niewolnikiem bardzo srogo nieraz. Dla odróżnienia ludzi wolnych od niewolników, tym nieszczęśliwym golono głowę. Ówczesni ludzie nie ubierali się tak jak my obecnie — nosili tylko jedno nakrycie na całym ciele tak zwane „togi“. Ubierali się tak ludzie, mieszkający w krajach południowych, gdzie stałe gorąca panują.

Adam Asnyk w tym przesłicznym wierszu pisze, że ten niewolnik cudnie umiał grać na lutni. Więc tamtejszy król przyobiecował mu wspańiałe szaty,

wspaniałe komnaty by tylko przybył na jego dwór zagrać dworzanom, lecz on nie przyjął obiecanych rozkoszy — wolał śpiewać dla innych również jak on nieszczęśliwych, by pieśnią swoją rozjaśnić ich smutną dolę.

Zupa z głogu. Świeże jagody głogu bez pestek lub też suszone, zagotować dobrze w wodzie, przeceździć przez przetak, dodać cukru i gotować ponownie. Następnie zaprawić zupę łyżeczką małą mąki i podać na stół. Taką zupę jada się z bułką poprzednio w drobne kostki pokrajaną i ususzoną na grzanki lub z ziemniakami. W ten sam sposób gotować można zupy i z innych owoców i jagód. Przestrzegać jednak należy, by wszelkie jarzyny, owoce, jagody, były gotowane w dobrze polewanych naczyniach. A najlepiej gotować w naczyniach glinianych.

Doskonałe ziemniaki z jabłkami. Obrane i wydrążone ze środków jabłko, pomieszać z obranymi i dobrze obmytymi ziemniakami i wrzucić do garnka. Garnek do pełna nalać wodą i gotować wszystko razem z dodaniem trochę cukru. (Na jeden litr wody kwartę jabłek, łyżeczkę cukru). Wody nie dolewać, a wyjęte dobrze uprażone ziemniaki z jabłkami podać na stół.

Soczewica. Oczyszczyć i pokrajać pory, selery, trochę marchwi i warzyć w wodzie przez godzinę. Duże, dobrze opłótkane ziarenka soczewicy osolić cokolwiek i na wolnym ogniu gotować. Gdy się ugotuje, wlać do niej sok z wygotowanych jarzyn i zaprawić rumianem masłem z mąką i dobrze wymieszać. Soczewicę w ten sposób przygotowaną je się z chlebem lub ziemniakami. Soczewicę można gotować i bez jarzyn, a wtedy, gdy się ją masłem zasmarzy, wcisnąć do niej trochę soku cytrynowego przed podaniem na stół, a będzie doskonałą.

Masa do zalepiania szczelin w ulach. W ulach wyrabianych z drzewa, dość często pozostają szczeliny, niepożądane zwłaszcza w daszkach, gdyż bywają przyczyną przenikania wilgoci do plastrów. Ta nieszczelność daszków jest najczęściej następstwem użycia desek niedostatecznie wysuszonych. Masa, przygotowana podług jednego z pism pszczelniczych, ma być bardzo odpowiednią do zasklepiania szczelin w ulach. Bierze się jednakowe ilości na wagę żywicy sosnowej i wosku, rozpuszcza się na wolnym ogniu i następnie dodaje się trocin tyle, aby utworzyło się dość gęste ciasto. W stanie ciepłym używa się tej masy do zamazania szczelin, a wkrótce tak ona stwardnieje, że można w nią gwoździe wbijać.

Miód i wosk mogą się wydawać mało znaczącym artykułem handlu; jednakowoż obrót niemi jest potężny. Zważywszy, że na sam Hamburg w roku 1899 przywieziono morzem około 70,960 kilogr., dojdziemy dopiero do pojęcia o rozmiarach tego handlu. Ilość przywozu morzem zmienia się w różnych latach bar-

dzo rozmaicie. i tak w roku 1895 przywieziono kilogramów 162.750, w roku 1896 przywieziono 110.550 kilogramów, a w roku 1897 nawet tylko 69.600 kilogr.

Najwięcej przychodzi miodu i wosku z Indyj Zachodnich, Kuby, Chili, Kalifornii, Brazylii, z Bengalu, Madagaskaru, Mozambiku i Tunisu, i w końcu z Holstynu i z Szwecyi.

Szanowna Redakcyo!

Zasylam do umieszczenia w Szanownem piśmie *Przodownicy* następującą pieśń:

PIEŚŃ.

Jak z modrego nieba,
Błyszcząca gwiazdeczka,
Tak nas, kmiotków, cieszy
Ludowa piosneczka:

Ona towarzyszy
W radości, w żałobie,
A nawet brzmi lubo
I przy ciemnym grobie.

Śpiew zgryzoty płoszy,
Jak słodka potęga,
Śpiew zdrojem rozkoszy,
Bo do serca sięga.

Gdzie słyszysz śpiewanie,
Tam możesz przebywać,
Bo to dobre zdanie,
Że źli nie chcą śpiewać.

Turaba z Dolnych Błędowic.

PYTANIA I ODPOWIEDZI.

Sz. Ross... Żądane książki wysłane.

Sz. Ta... Dziś zamieszczamy na życzenie Szanownego Czytelnika artykuł o „Kianie” czyli rdzy na koniczynie.

Sz. A. T. Zamiast oliwy zagranicznej używają u nas oleju lnianego, ze słonecznika i t. d. i przeważnie sami włóścianie go sobie wyrabiają.

Od Administracyi.

Do Szanownych Czytelniczek *Przodownicy* zwracamy się z prośbą, by zechciały zaległą prenumeratę za rok 1901 zapłacić i już w grudniu zamawiać sobie to piśmko na rok 1902 lub też nadsyłać prenumeratę.



ZA CHLEBEM

przez

HENRYKA SIENKIEWICZA.

(Ciąg dalszy).

Zmówili pacierz, zjedli choć niewiele tego było, i poszli nad wodą aż do głównych doków. Wstąpiły w nich nowe siły. Doszedłszy do budynku celniczego, skręcili pod górę na Water-street (wym.: *Uoter-strit* — Wodna ulica), ku Broadway. Z odpoczynkami zeszło im na tem parę godzin, bo droga była daleka. Chwilami siadali na deskach, lub na próżnych pakach okrętowych. Szli, sami nie wiedząc dlaczego, ale coś się tak Marysi widziało, żeby koniecznie iść do miasta. Po drodze spotykali mnóstwo ładownych wozów, ciągnących do portu. Na Water-street ruch już panował niemały. Z otwierających się bram wychodzili ludzie i szli pośpiesznie do codziennych zatrudnień. W jednej takiej bramie ukazał się wysoki, siwy i wąsaty jegomość z młodym chłopakiem. Wyszedłszy, spojrzął na nich i na ich ubrania, ruszył wąsami; zdziwienie odbiło się na jego twarzy, poczem zaczął się przypatrywać jeszcze bystrzej i uśmiechać się.

Twarz ludzka, uśmiechająca się do nich przyjaźnie w Nowym-Yorku, to był dziw, czary jakies, na widok których zdumieli się oboje.

Tymczasem siwy jegomość zbliżył się i spytał najczystsą polszczyzną:

— A wyście skąd, ludzie?

Jakby piorun w nich uderzył. Chłop, zamiast odpowiedzieć, zbladł jak ściana i zachwiał się na nogach, nie wierząc ani swoim uszom, ani swoim oczom. Marysia, ochłonawszy pierwsza, przypadła zaraz do nóg starego pana, objęła je rękoma i poczęła wołać:

— Z pod Poznania, jasnie dziedzicu! z pod Poznania.

— Co wy tu robicie?

— W nędzy, w głodzie i w niedoli srogiej żyjewa, drogi panie.

Tu Marysi głosu zabrakło, a Wawrzon rzucił się plackiem do nóg jegomości, potem począł całować poję jego surduta i, trzymając ją, myślał, że chyba za kawał nieba złapał.

Toć to pan i swój pan. On z głodu umrzeć nie da, on poratuje; on zmarnieć nie da.

Młody chłopiec, który był z siwym panem, wytrzeszczał oczy, ludzie poczęli się gromadzić, otwierać usta i patrzeć, jak człowiek przed człowiekiem klęczy i po nogach go catuje.

W Ameryce to niebywała rzecz! Ale stary pan począł się na gapiów gniewać,

— To nie wasz „bussines“ (wym.: *business* — interes, zajęcie) — mówił do nich po angielsku — idźcie do swego businessu!

Poczem do Wawrzona i Marysi:

— Nie będziemy na ulicy stali: chodźcie za mną.

— Wprowadził ich do najbliższego szynku, tam wszedłszy do osobnego pokoju, zamknął się z nimi i z chłopakiem. Oni znowu zaczęli mu do nóg padać, od czego bronił się i mruzczał gniewliwie:

— Skończcie ten business! My przecie z je-dnych stron, my dzieci jednej... matki...

Tu widocznie dym z cygara, które palił, zaczął gryźć go w oczy bo przetarł je kułakami i spytał:

— Głodniście?

— Bez dwa dni niceśmy nie jedli, jeno co dziś zjedliśwa nad wodą.

— Wiliam! — rzekł do chłopca — każ im dać jeść.

Następnie pytał dalej:

— Gdzie mieszkacie?

— Nigdzie, jasnie panie.

— Gdzieście spali?

— Nad wodą.

— Wygnali was z mieszkania?

— Wygnali.

— Nie macie rzeczy prócz tych co na sobie?

— Nie mamy.

— Nie macie pieniędzy?

— Nie mamy.

— Co będziecie robili?

— Nie wiemy.

Stary pan, pytając szybko i jakby gniewliwie, zwrócił się nagle do Marysi:

— Ile masz lat, dziewczyno?

— Ośmnaście skończę na Matkę Boską Zielną.

— Nacierpiałś się, co?

Nie odpowiedziała nic, tylko schyliła mu się pokornie do nóg.

Starego pana dym znowu zaczął widocznie gryźć w oczy.

W tej samej chwili przynieśli piwo i ciepłe mięso.

Stary pan kazał im się zaraz wziąć do jedzenia, a gdy odrzekli, że nie śmieją tego przy

nim zrobić, powiedział im, że są głupi. Ale mimo tej jego gniewliwości, wydawał im się aniołem z nieba.

Gdy jedli, radowało go to widocznie bardzo. Potem kazał sobie opowiadać, jak się tu dostali i przez co przeszli. Więc Wawrzon opowiedział mu wszystko i nie zataił nic, jako księdzu na spowiedzi. On gniewał się, wymyślał mu, a gdy doszło do tego, jak Wawrzon chciał topić Marysię, krzyknął:

— Jąbym cię ze skóry odarł!

Potem do Marysi:

— Pójdź tu dziewczyno!

Gdy się zbliżyła, wziął w obie ręce jej głowę i pocałował ją w czoło.

Potem myślał przez chwilę i rzekł:

— Biedę przeszłście. Ale to jest dobry kraj, tylko trzeba sobie umieć radzić.

Wawrzon wytrzeszczył na niego oczy: ten zacy i mądry pan nazywał Amerykę dobrym krajem:

— Tak jest, ciemiego — rzekł, spostrzegłszy zadziwienie Wawrzona — dobry kraj! Gdy tu przybył, nie miałem nic, a teraz mam kawałek chleba. Ale wam, chłopom, pilnować roli, nie po świeccie się włączyć. Jak wy wyjedziecie, kóż tam zostanie? Wyście tu na nic, a przyjechać tu łatwo, a wrócić trudno.

— Milczał czas jakiś, potem dodał, jakby do siebie:

— Czterdzieści kilka lat tu siedzę, to się i o kraju zapomniało. Ale tęsknota czasem bierze, co? Wiliam tam musi jechać, niech pozna, gdzie jego ojcowie żyli... To mój syn — rzekł, ukazując na chłopca. — Wiliam! przywieziesz mi z domu garść ziemi pod głowę do trumny.

— *Yes father!* (wym.: *Yes fadzer!* — tak, ojczule!) — odpowiedział po angielsku wyrostek.

— I na piersi! Wiliam! i na piersi!

— *Yes, father!*

Starego pana dym tak okropnie zaczął gryźć w oczy, że źrenice zaszyły mu jakby szkłem.

Zaraz też począł się gniewać:

— Rozumie chłystek po polsku, ale woli mówić po angielsku. Tak musi być. Co tu padnie, to dla dawnych progów stracone. Wiliam! idź, powiedz siostrze, że będziemy mieli gości na obiad i na noc.

Chłopiec poskoczył żywo. Stary pan zamyslił się i milczał długo; potem zaczął mówić jakby do siebie:

— Chłochy ich wysłać z powrotem, koszt wielki, a przytem do czego wrócą? Sprzedali, co mieli: pójdą na dziady. W służbie z dziewczyną Bóg wie co by się stało. Kiedy tu je-

steście, trzeba jeszcze pracy popromować. Wyśłać ich jeszcze do jakiej osady, dziewczyna pójdzie za męża na poczekaniu. Dorobią się we dwoje; zechcą wrócić, to i starego zabiorą.

— Następnie rzekł wprost już do Wawrzona:

— Słyszalesz ty o tutejszych naszych osadach?

— Nie słyszałem, wielmożny panie.

— Ludzie! jak wy się tu puszczaacie? Na miły Bóg! Nie macieź ginąć potem! W Chicago (wym.: *Czikago*) jest takich jak ty ze dwadzieścia tysięcy, w Milwaukee (wym.: *Milwaukee*) tyleż, w Detroit sporo, w Buffalo sporo. Pracują po fabrykach, ale chłopu najlepiej na rolę. Do Radonia wysłaćby was, do Illinois, hm! tam już o grunt trudno. Zakładają jakiś nowy Poznań w stepach w Nebrascie, ale to daleko. Kolej drogo kosztuje. Panna Marya w Teksasie także daleko. Do Borowiny byłoby najlepiej, tembardziej, że mogą dać wam bilety darmo, a co dam w rękę, to schowacie na gospodarstwo.

Zamyslił się jeszcze głębiej.

— Słuchaj, stary — rzekł nagle. — Zakładają teraz nową osadę w Borowina w Arkansas. Jest to piękny kraj i ciepły, a ziemia prawie pusta. Tam gruntu z lasem weźmiesz 160 morgów od rządu darmo, a od kolei za małą opłatą — rozumiesz? Na gospodarstwo ci dam i bilety na kolej, bo mogę. Pojedźcie do miasta Little-Rock (wym.: *Littl-Rok*), potem trzeba będzie wozem. Tam znajdziecie i innych, którzy z wami pojedą. Zresztą dam wam listy. Chcę wam pomódz, bom wasz brat: ale twojej dziewczyny sto razy więcej żal mi, niż ciebie. Rozumiesz! Bogu dziękujcie, żeście mnie spotkali.

Tu głos jego stał się zupełnie miękki.

— Słuchaj, dziecko — rzekł do Marysi — oto tu masz moją kartkę: schowaj ją święcie. Jak cię kiedy bieda przycisnie, jak zostaniesz samotna na świecie i bez opieki, to mnie poszukaj. Tyś biedne dziecko i dobre. Gdybym umarł, Wilam się tobą zajmie. Kartki nie zgub! Chodźcie teraz do mnie.

Po drodze kupił im bielizny i ubrania, a wreszcie zaprowadził do siebie i ugościł. Był to cały dom dobrych ludzi, bo i Wiliam i jego siostra Jenny (wym.: *Dżenny* — Joanna) zajęli się obojgiem jakby krewnymi. Pan Wiliam obchodził się nawet z Marysią, jakby z „lady“ (wym.: *ledy* — pani) jaką, czego wstydziała się okrutnie. Wieczorem do panny Jenny przyszło kilka młodych panienek z grzywkami na czołach, ubranych ślicznie i dobrych. Te wzięły między siebie Marysię, dziwiły się, że taka blada, że taka ładna, że ma tak jasne włosy, że in się

do nóg ciągle schyla i po rękach je całuje, z czego się śmiały bardzo. Stary pan chodź między młodymi, potrzasał białą głową, mrucał, czasem się gniewał; mówił to po angielsku, to po polsku. rozmawiał z Marysją i Wawrzonem o dalekich stronach rodzinnych: przypominał sobie, rozpamiętywał i od czasu do czasu widocznie dym z cygara gryźł go w oczy, bo je sobie często ukradkiem ocierał.

Gdy się wszyscy rozeszli spać, Marysia nie mogła wstrzymać łez, widząc, że panna Jenny własnymi rękoma przygotowuje jej pościel. Ach! jacyż to dobrzy ludzie byli, ale cóż to dziwnego! Przecie stary pan był także rodem z pod Poznania.

Trzeciego dnia Wawrzon i dziewczyna jechali już do Little-Rock. Chłop czuł sto dolarów w kieszeni i o biedzie zupełnie zapomniał, a Marysia czuła nad sobą widomą rękę Bożą i wierzyła, że ta ręka nie da jej zginąć; że, jak ją z niedoli wyprowadziła, tak i Jaska do Ameryki sprowadzi i nad obojgiem czuwać będzie i do Lipiniec wrócić im pozwoli.

Tymczasem miasta i farmy¹⁾ wiejskie migały im przez okna wagonu. Było to zupełnie inaczej, aniżeli w Nowym-Yorku. Były pola i bór na dalekości i domki, przy których rosły drzewa; ruń zbóż wszelakich zieleniła się wielkimi szmatami, zupełnie jak w Polsce. Na ten widok Wawrzonowi rozpie-rało tak coś piersi, że miał ochotę krzyżeć: „He! wy bory i pola zielone!“ Na łąkach pały się trzody krów i owiec; po rubieżach leśnych widać było ludzi z siekierami. Pociąg leciał dalej i dalej. Powoli okolica stawała się coraz mniej ludna. Farmy znikły, a kraj roz-tworzył się szeroki, pusty step. Wiatr na nim chwiał fałą traw i migotał kwiatami. Miejscami wiły się, nakształt złocistych wstęg, drogi pokryte żółtem kwieciami, po których niedgdy przeszły wozy. Wysokie burzany, dziewanny i szyszkowate osty kiwały głowami, jakby witając wędrowców. Orły kołysały się na szerokich skrzydłach nad stepem, wpatrując się pilnie w trawę. Pociąg rwał naprzód, jakby chciał dolecieć tam, gdzie te stepowe przestrzenie giną oczom i zlewają się z niebem. Z okien wagonów widać było całe stadka zajęcy i piesków ziemnych. Czasem rogata głowa jelenia mignęła nad trawami. Nigdzie ani wieżyczki kościelnej, ani miasta, ani wsi, ani domu, stacye tylko; ale między stacyami i w bok ani żywego ducha. Wawrzon spoglądał na to wszystko, kręcił głową

i nie mógł zrozumieć, że tyle „dobroci“, jak nazywał grunta, pustką stoi.

Upłynął dzień i noc. Rankiem wjechali w bory, w których drzewa były pookręcane pnąciami się roślinami, grubemi jak ramię ludzkie, co robiło bór tak gęstym, że chyba w niego siekierą jak w ścianę bić. Nieznane ptactwo świergotało w tych zielonych gąszczach. Raz zdało się Wawrzonowi i Marysi, że wśród skrętów i bisiorów ujrzeli jakichś jeźdźców z piórami na głowie i o twarzach tak czerwonych, jak miedz polerowana. Widząc te lasy, te puste stopy i puste bory, te wszystkie nieznanne cuda i ludzi innych, Wawrzon nie mógł wrzeszcie wytrzymać i rzekł:

- Maryś!
- Co tatulu?
- Widzisz?
- Widzę.
- A dziwujesz się.
- Dziwuję się.

Przejechali nakoniec rzekę ze trzy razy szerszą od Warty, o której później dowiedzieli się, że się nazywa Mississippi, i głuchą już nocą przybyli do Little-Rock.

Stąd mieli się wypytać o drogę do Borowiny.

Porzucamy ich w tej chwili. Drugi okres ich tułactwa za chlebem został ukończony. Trzeci miał się odegrywać w lasach, wśród huku siekier i w ciężkim znoju osadniczego życia. Czy mniej w nim było łez, cierpień i niedoli, do-wiemy się niedługo.

III.

Życie osadnicze.

Czem była Borowina? Osadą, która miała powstać. Ale widocznie nazwę obmyślono z góry, wychodząc z zasady, że gdzie istnieje nazwa, tam musi istnieć i rzecz. Poprzednio gazety polskie, a nawet i angielskie, wychodzące w Nowym-Yorku, Chicago, Buffalo, Detroit, Milwaukee, Manitovok, Denver, Catumet, słowem wszędzie, gdzie można usłyszeć mową polską, głosiły całemu światu w ogólności, że kto by z nich chciał być zdrowym, bogatym, szczęśliwym, jeść tłusto, żyć długo, a po śmierci na pewno otrzymać zbawienie, ten niech się zapisuje na działkę w raju ziemskim czyli w Borowinie. Ogłoszenia mówiły, że Arkansas, w którym ma stanąć Borowina, jest krajem pustym jeszcze, ale najzdrowszym w świecie. Wprawdzie miasteczko Memphis, leżące na samej granicy, z tamtej strony Mississippi, jest siedliskiem żółtej febry,

¹⁾ *Farma* — posiadłość wiejska, folwark.

ale według ogłoszeń ani żółta, ani żadna inna febra nie potrafiłaby przepłynąć takiej rzeki, jak Mississipi. Na górnym brzeżu rzeki Arkansas nie ma jej dla tego jeszcze, że sąsiedzi Indianie Choctaw's (wymawiaj: *Czoktous*), oskalpowaliby¹⁾ ją bez żadnej litości. Febra drzy na widok czerwonej skóry. Skutkiem takiego składu rzeczy osadnicy w Borowinie mieszkać będą między febrą od wschodu, a czerwonoskórzymi od zachodu, w pasie zupełnie neutralnym, zatem mającym przed sobą taką przyszłość, że za lat tysiąc Borowina będzie niezawodnie liczyła ze dwa miliony mieszkańców, a ziemia, którą się dziś płaci po 1 i pół dolara za akr²⁾, pójdzie na place do sprzedania w cenie mniej więcej tysiąca dolarów za kwadratowy łokieć.

Takim obietnicom i widokom trudno się było oprzeć. Tych, którymby mniej podobało się sąsiedztwo Choctaw'ów, ogłoszenia zapewniały, że ten waleczny szczep ożywiony jest szczególniejszą sympatją właśnie dla Polaków, że więc należy przewidywać stosunki jak najuprzejmiejsze. Zresztą wiadomo, że gdzie przez lasy i stopy przejdzie kolej żelazna i stupy telegraficzne w kształcie krzyżów, tam owe krzyże stają się wkrótce znamionami, stojącymi na mogiłnikach indyjskich; że zaś ziemia pod Borowiną nabyta została od kolei żelaznej, zniknięcie więc Indian było tylko kwestją czasu.

Ziemia została nabyta istotnie od kolei żelaznej, co zapewniało osadzie związek ze światem, zbyt dla produktów i przyszły rozwój. Ogłoszenia zapomniały wprawdzie dodać, że kolej ta była dopiero projektowaną i że właśnie sprzedaż sekcji, nadawanych kolejom przez rząd w krajach pustych, miała zapewnić, a raczej dopełnić funduszu potrzebnego na budowę; zapomnienie to było jednak łatwe do wybaczenia przy businessie tak złożonym. Zresztą pociągało tę tylko różnicę dla Borowiny, że osada, zamiast się znajdować na linii drogi, leżała w głuchej pustyni, do której trzeba się było dostawać wśród wielkich trudów wozami.

Z tych zapomnień mogły się zrodzić różne przykrości, przykrości jednak były tylko czasowe i miały ustać wraz z przeprowadzeniem kolei. Zresztą wiadomo jest, że ogłoszeń w tym kraju nie można brać dosłownie, albowiem jak każda roślina, przesadzona na amerykański grunt, wybuja niezawodnie, ale kosztem owoców, tak i re-

klama¹⁾ w amerykańskich gazetach tak się rozrasta, że ziarno prawdy trudno czasem z pustych słów niby plew wyłuskać. Odłożywszy Jordan na bok wszystko, co w ogłoszeniach o Borowinie należało uważać za tak zwany „*humbug*“²⁾, można jeszcze było mniemać, że osada ta nie będzie wcale gorsza od tysiąca innych, których powstawanie z niemniejszą przesadą ogłoszono.

Warunki wydawały się nawet z wielu względów pomyslnymi, stąd mnóstwo osób, a nawet rodzin polskich, rozprószonych po całych Stanach, od wielkich jezior aż po palmowe lasy Florydy, od Atlantyku aż po kalifornijskie wybrzeża, zapisało się na osiedleńców w mającej powstać osadzie. Mazurzy pruscy, Ślązacy, Poznanci, Galicyanie, Litwini z Augustowskiego i Mazurzy z pod Warszawy, którzy pracowali po fabrykach w Chicago i Milwaukee, i którzy oddawna wdychali do życia, jakie chłop z chłopów powinien prowadzić, chwycili pierwszą sposobność, by się z dusznych, zakopconych dymem i sadzą miast wydostać, a jąc się pługą i siekiery w przestronnych polach, borach i stepach Arkansasu. Ci, którym było za gorąco w Pannie Maryi w Teksas, lub za zimno w Minessocie, lub za wilgotno w Detroit, lub za głodno w Radomiu w Illinois, połączyli się z pierwszymi i kilkuset ludzi, najwięcej mężczyzn, ale wiele także niewiast i dzieci, wyruszyło do Arkansas. Nazwa „*Bloody-Arkansas*“, to jest „*krwawy*“, nie odstraszała zbyt osadników. Jakkolwiek, prawdę mówiąc, kraj obfituje dotychczas w drapieźnych Indian, w tak zwanych *outlawów*, czyli rozbójników zbiegłych z pod prawa, w zdziczałych skwatterów³⁾, wycinających drzewo wbrew zakazom rządowym nad *Red-River* (Czerwoną rzeką) i w różnych innych awanturników lub drapichrustów, urwanych z pod szubienicy; jakkolwiek dotąd zachodnia część tego Stanu słynną jest z okrutnych zapasów między czerwonoskórzymi a białymi myśliwcami na bawoły i ze straszliwego prawa „*lynch*“⁴⁾, przecie można dać sobie z etm wszystkim radę. Mazur, gdy czuje sękacza w łapie, a zwłaszcza jeszcze gdy ma po Mazurze z każdego boku i Mazura za sobą, nie bardzo komu ustąpi, a temu, coby mu nadto w drogę lał, gotów krzyknąć: „*Dyćwa nie ciarachy, nie*

¹⁾ *Reklama* — ogłoszenia zachwalające.

²⁾ *Humbug* — łgarstwo, oszukaństwo.

³⁾ *Skwatter* (z angielsk.) — osadnik.

⁴⁾ *Lynch* (wym.: *lynecz*) — prawo doraźnego odwetu. mocą którego schwytyany zbrodniarz natychmiast odbiera karę.

¹⁾ *Skalp* (z angielskiego) — skóra z włosami zdjęta z głowy ludzkiej; *oskalpować* — zdjąć skórę z włosów z głowy.

²⁾ *Akr* — mórg amerykański.

targajta, bo żgniewa, aż będzieta chramać!“ Skądinąd wiadomo także, że Mazury lubią się trzymać razem i osiadać w ten sposób, by Maciek Maćkowi mógł w każdej chwili z kłonicą na pomoc pośpieszyć.

Punktem zbornym dla większości było miasto Little-Rock, ale z Little-Rock do Clarksville, najbliższej osady ludzkiej, z którą miała sąsiadować Borowina, trochę dalej niż z Warszawy do Krakowa, a co gorzej, trzeba było jechać krajem pustym, przedzierać się przez lasy i wezbrane wody. Jakoż kilku ludzi, którzy, nie chcąc czekać na całą gromadę, puścili się w pojedynkę, zginęli bez wieści, ale główny Tabor doszedł szczęśliwie i obozował oto teraz wśród lasu.

Prawdę powiedziawszy, przybyszy na miejsce, osadnicy rozczarowali się bardzo. Spodziewali się zastać na gruntach, przeznaczonych na osadę, pola i las, a znaleźli tylko las, który dopiero trzeba było karczować. Czarne dęby, drzewa czerwone, bawełniane (tak zwane *cottonwood*), jasne platany i posępne hickory stały obok siebie jedną masą. Puszczą to była nie na śmiech, podszyla czaporalem z dołu, powikłana w górze lianami, które przeskakując naksztali lin i sznurów z drzewa na drzewo, tworzyły jakby zwieszające się mosty, jakby zastony, jakby bisiory jakie, kwieciami okryte, a tak gęste, tak stłoczone i zbite, że oko nie pobiegło w dal jako w naszych lasach; kto się zapuścił głębiej, ten nieba nad sobą nie dojrzał i w mroku błędzić musiał i zbłądzić mógł i zaprzepaścić się na zawsze. Jeden i drugi Mazur spoglądał to na własne pięście, to na siekiere, to na owe dęby, mające po kilkanaście łokci obwodu, i niejednemu markotno się zrobiło. Błogo mieć drzewo na chałupę i na opał, ale wyciąć las jednemu człowiekowi na 160 morgach, pniaki z ziemi wydrapać, wykroty zrównać i dopiero imać się pługą, to praca na całe lata.

Ale nie było nic innego do roboty, więc zaraz drugiego dnia po przybyciu taboru jaki taki przeznętał się, w ręce splunął, chwycił toporzysko, stęknął, machnął, uderzył, i od tej pory codzień było słyhać huk siekier w tym arkansaskim lesie, a czasem i pieśni rozlegające się echem:

Przyszedł Jasienko,
Przyszedł ze dworu:
„Miła Kasienko,
Pójdźwa do boru,
Do boru, do ciemnego.“

Tabor stał wedle strumienia, na dość obszernej polance, brzegiem której miały stanąć w kwadrat chałupy, na środku zaś z czasem

kościół i szkoła. Ale do tego było jeszcze daleko; tymczasem zaś stały wozy, na których przybyły rodziny osadnicze. Wozy te ustawiono w trójkąt, by w razie napadu można w nich się bronić, jak w fortecy. Za wozami na pozostającej części polanki chodziły muły, konie, woły, krowy i owce, nad którymi czuwała straż, złożona z młodych zbrojnych parobków. Ludzie sypiali na wozach, lub też za ich obrębem naokoło ognisk.

W dzień kobiety i dzieci zostawały w taborze, obecność zaś mężczyzn można było poznać tylko po huku siekier, którym rozbrzmiewał cały las. Nocami wyły w gąszczach dzikie zwierzęta, mianowicie jaguary, arkansaskie wilki i kujoty. Straszne szare niedźwiedzie, które blasku ognia mniej się boją, podchodziły czasem dość blisko do wozów, skutkiem czego często wśród ciemności rozlegały się strzały i wołania: „Bywaj, bić bestyą!“ Ludzie, którzy przybyli z dzikich stron teksaskich, byli po największej części wprawnymi myśliwcami i ci dostarczali z łatwością sobie i swym rodzinom zwierzyny, mianowicie antylop, jeleni i bawołów: była to bowiem pora wiosennych wędrowek tych zwierząt na północ. Reszta osadników żywiła się zapasami zakupionymi w Little-Rock lub Clarksville, a składającymi się z kukurydzowej mąki i solonego mięsa. Prócz tego bito owce, których pewną ilość zakupiła każda rodzina.

Wieczorami, gdy wedle wozów rozpalono wielki ogień, młodzież po wieczery, zamiast iść spać, puszczała się w taniec. Jakiś grajek przywiózł ze sobą skrzypce, na których wygrywał obertasa od ucha, a gdy głos skrzypiec ginął nado wśród leśnego szumu i pod otwartym niebem, inni pomagali grajkowi na sposób amerykański, brzękając w blaszane miski. Życie uchodziło w pracy ciężkiej gwarnie, a przytem bezładnie. Najpierwszą rzeczą było postawić chałupy; jakoż wkrótce na zielonem podścielisku polanki stanęły zręby domów, cała zaś jej powierzchnia pokryła się wiórami, heblowinami, kawałkami kory i tem podobnym śmieciem drzewnym. Czerwone drzewo, czyli t. zw. „*redwood*“, łatwo dawało się obrabiać, ale często trzeba było po nie chodzić daleko. Niektórzy pourządzali sobie tymczasowe namioty z płócien, pozdzieranych z wozów. Inni, zwłaszcza nieżonaci, którym mniej pilno było do dachu nad głową, a więcej przykrzył się karczunek, zaczęli orać w miejscach, gdzie puszcza nie była podszyla i gdzie dęby i hickory, t. j. żelazne drzewa były rzadsze. Wówczas-to jak bór arkansaski borem, pierwszy raz rozległy się w nim nawoływania: „Heć, kso, byś!“

Wogóle jednak taki nawał roboty spadał na osadników, że niewiadomo było, do czego rąk przyłożyć: czy naprzód stawiać domy, czy karczować, czy chodzić za zwierzyną. Zaraz z początku pokazało się, że pełnomocnik kolonistów kupił ziemię od kolei na wiarę i nigdy w niej poprzednio nie był; inaczej bowiem nie byłby nabywał głuchej puszczy, zwłaszcza iż równie łatwo było kupić kawałki stepu, częściowo tylko lasem pokryte. Tak on, jak i pełnomocnik kolei przybyli wprawdzie na miejsce, by działki rozmierzyć i wskazać każdemu, co do niego należy, ale zobaczywszy, jak rzeczy stoją, pokręcili się dwa dni, następnie wyklócili się i, wyjechawszy niby po narzędzia miernicze do Clarcsville, nie pokazali się już w osadzie.

Wkrótce wyszło na jaw, że jedni osadnicy zapłacili więcej, inni mniej, a co gorzej, nikt nie wiedział, gdzie jego działka leży, jak odmierzyć to, co na niego wypada. Osadnicy zostali bez żadnego przewodnictwa, bez żadnej władzy, któraby mogła sprawy ich porządkować i spory godzić. Nie wiedzano dobrze, jak pracować. Niemcy wzięliby się zapewne całą gromadą do wycięcia lasu i, oczyściwszy całą przestrzeń, postawiliby wspólnymi siłami domy, dopiero by zaczęli przy każdym domu odmierzać grunta. Ale każdy Mazur chciał od razu swoim się zająć, swój dom stawiać i na swojej działce las ciąć. Każdy przytem chciał brać miejsca przy środkowej polance, gdzie puszcza była najrzadsza, a woda była najbliższa. Stąd powstały spory, które wzrosły zaraz, gdy pewnego dnia zjawił się, jakby z nieba spadły wóz niejakiego pana Grünmańskiego. Ten pan Grünmański w Cincinnati n. p., gdzie mieszkają Niemcy, może nazywał się króćiej Grünman, ale w Borowinie dodał sobie „ski“ dlatego, żeby handel lepiej szedł. Wóz jego miał wysoki dach płócienny, na którym z każdego boku czerniał napis wielkimi literami: „Saloon“ (wymawiaj: *salun* — szynk), a pod spodem mniejszemi: „Brandy, whisky, džin“ (wym.: *brandi, wiski, džin* — rozmaite gatunki wódek).

Jakim sposobem wóz ten przejechał w całości niebezpieczną pustynię między Clarcsville a Borowiną, jakim sposobem nie rozbili go stepowi awanturnicy, dlaczego Indyanie, którzy wążają się małymi oddziałami, nieraz bardzo blisko od Clarcsville, nie zdjęli skalpu z głowy pana Grünmańskiego, to była jego tajemnica, dość, że przybył i tego samego dnia zaraz zaczął robić doskonałe interesy. Ale też tego samego dnia osadnicy poczęli się kłócić. Do tysięcy sporów o działki, o narzędzia, o owce, o miejsca

przy ogniskach przybyły nader błahie powody. Oto w osadnikach obudził się jakiś zaściankowo-amerykański patryotyzm. Ci, co pochodzili ze stanów północnych, poczęli wychwalać dawne swe siedziby kosztem osad i osadników ze stron południowych i odwrotnie. Wówczas to można było usłyszeć ową północno-amerykańską polszczyznę, cerowaną angielskimi niemi wszędzie, gdzie ją odłączenie od macierzystego kraju i przebywanie wśród obcych przedziurawiło.

— Bo co wy to chwaliła swoje południowe *kontry* (kraje)? — mówił parobczak z pod Chicago. — U nas w Illinois, gdzie spojrzysz to je *rajbrod* (chleb), a co *karem* (wózem) milkę ujeździesz, to *city* (miasto). Pójdziesz na *fermę*, dom chcesz stawić, to nie potrzebujesz lasu grzyć, kupisz *lumber* (stare drzewo) i basta, a u was co?

— U nas jeden *kanon*¹⁾ więcej wart, niż całe twoje *bloki* (osada).

— A ty mnie, *goddem*²⁾, czego tykasz? Tam byłem *syr*, to i tu będę *syr*, a ty coś za jeden? „Syr“ znaczyło angielskie „sir“ (t. j. pan).

— Cicho, bo złapię *szyngeles* (kij), albo ci łeb umoczę w *kryku* (w rzecze), kiedy się sierdzisz. Co ci za *business* do mnie.

— Czego mnie *faliszujesz*? (głową zawracasz?) Kupię cię za *bita*! (lada co!)

.....

W osadzie źle się poprostu działo, bo ta gromada przypominała gromadę owiec bez pastucha. Spory o działki stawały się coraz gwałtowniejsze. Przechodziło do bitew, w których towarzysze z jednych miast lub osad łączyli się przeciwko pochodzącym z innych. Doświadczeni, starsi i mędrsi zyskiwali wprawdzie zwolna powagę i władzę, ale nie zawsze mogli je utrzymać. W chwilach tylko niebezpieczeństw wspólny instykt obrony kazał zapominać o kłótniach. Raz, gdy wieczorem gromadka włóczęgów indyjskich ukradła kilkanaście owiec, chłopci rzucili się za nimi w pogoń hurmem i bez chwili namysłu. Owce odebrano, jednego czerwonoskórego zbito tak, że wkrótce umarł, i najlepsza zgoda panowała tego dnia, ale drugiego ranka znowu zaczęli się bić ze sobą przy karczunku. Zgoda przychodziła także, gdy wieczorami grajek poczynał wygrywać nie do tańca, ale rozmaite pieśni, które każdy słyszał dawno, jeszcze pod słomianymi strzechami. Rozmowy wtedy cichły.

¹⁾ *Kanon* a właściwie *kanion* jest to wądoł wyłobiony przez rzekę, zwykle porośnię lasem.

²⁾ *Goddem* — przekleństwo.

Chłopi otaczali grajka wielkiem kołem, szum boru wtórował mu, płomień w ogniskach sykał i strzelał skrami, oni zaś stojąc spuszczały chmurnie głowy i dusze z nich ulatywały za morze. Nieraz księżyc wytoczył się wysoko nad las, a oni jeszcze słuchali. Ale z wyjątkiem tych krótkich chwil rozpręgało się wszystko coraz bardziej w osadzie. Bezład powiększał się, nurtowała nienawiść. To małe społeczeństwo, rzucone wśród lasów i prawie oderwane od reszty ludzi i opuszczone przez przewodników, nie mogło i nie umiało sobie dać rady.

Między osadnikami odnajdujemy dwie znane nam postacie: starego chłopca, nazwiskiem Wawron Toporek, i jego ~~o~~ córkę Marysię. Dostawczy się do Arkansas, mieli w Borowinie dzielić losy innych. Jakoż z początku lepiej im się działo. Co bór, to nie bruk nowoyorski, a przytem tam nie mieli nic, tu posiadali wóz, inwentarza trochę, nabytego tanio w Claresvill i trochę porządków do roli. Tam gryzła ich straszna tęsknota, tu praca ciężka nie pozwalała myśli od dnia dzisiejszego oderwać. Chłop od rana do wieczora bór ciął, wióry łupał i belki na chałupę obrabiał; dziewczyna musiała chusty w strumieniu prać, ogień rozniecać, jeść, gotować; ale mimo znoju, ruchu i powietrze leśne zacierały stopniami na jej twarzy ślady choroby, jakiej nabyła przez nędzę w Nowym-Yorku. Gorący powiew z Teksasu opalił i pokrył złotawym odbłaskiem bladą jej twarzyczkę. Młodzi chłopcy z Sant-Antonio i z nad wielkich jezior, którzy o ladaco przyskakiwali do siebie z pięściami, w tem tylko byli zgodni, że Marysi oczy tak patrzą z pod jasnych włosów, jak chaber z żyta, i że to najładniejsza dziewczyna, jaką oko ludzkie oglądało. Uroda Marysina wyszła na dobre i Wawronowi. Sam sobie szmat najrzadszego lasu wybrał i nikt mu się nie sprzeciwił, bo wszyscy parobcy byli po jego stronie. Niejeden też mu w ścinaniu drzewa i obrabianiu belek, albo w zakładaniu na zręby pomagał, a stary, że chytry był, poznał, co się święci, i od czasu do czasu odzywał się:

— Moja córuchna chodzi po łące, kiejby lelaja, kiejby pani, kiejby królewna. Komu zechcę, to ją dam, ale byle komu nie dam, bo ona je gospodarska córka. Kto mi się niżej pokłoni i lepiej wygodzi, temu dam, nie żadnemu powsinodze.

Kto więc jemu pomagał, myślał, że sobie pomaga.

Wawronowi więc było lepiej nawet niż innym, a wogóle byłoby wcale dobrze, gdyby osada

miała jaką przyszłość przed sobą. Ale tam rzeczy psowały się z dnia na dzień. Ubiegł tydzień i drugi. Naokoło polanki zrabano drzewo, ziemia pokryła się wiórami, tu i owdzie wzniosła się złota ściana domostwa: to jednak, co zrobiono, było fraszką w porównaniu z tem, co należało zrobić. Zielona ściana boru zwolna tylko ustępowała przed siekierami. Ci, którzy się zagłębiali w haszcze, przynosili dziwaczne wieści, że ten bór wcale końca nie ma, że dalej straszne w nim bagna, bajora i jakaś spiąca woda pod drzewami, że jakieś dziwotwory tam mieszkają, jakieś opary nakształt duchów przesuwały się między gąszczami, jakieś węże syczą, jakieś głowy wołają: „Nie chodź!“ jakieś krzaki niesamowite za ubranie łapią i nie puszczają. Pewien chłopak z Chicago dowodził, że widział dyabła we własnej osobie, jak straszny, kudłaty łeb z błota podniósł i tak na niego chrapnął, iż ledwo do laboru uciekł. Osadnicy z Teksas tłumaczyli mu, iż to musiał być bawół, ale on nie chciał wierzyć. Tak groźnemu położeniu grozy przesąd dodawał. W kilka dni po widzeniu dyabła zdarzyło się, że dwóch zuchołów w las poszło i więcej ich nie ujrzano. Kilku ludzi zachorowało na krzyże z wysilenia, a potem rzuciła się na nich febra. Kłótnie o działki wzrastały do tego stopnia, że do ran i krwi w bitwach przychodziło. Kto nie pocięchował bydła, temu inni własności zaprzeczali. Tabor rozpręgnął się, rozstawiono wozy po wszystkich kątach polanki, by być od siebie jak najdalej. Nic wiadomo było, kto ma wychodzić na stróżę do bydła; owce poczęły ginąć. Tymczasem jedna rzecz stawała się coraz widoczniejszą, to, że nim słońce zjeździe, rosa oczy wyje; nim zasiewy na rubieżach leśnych się zazielenią i dochówek jaki będzie, zapasów żywności zabraknie i przyjsć może głód. Rozpacz ogarniała ludzi. Huk siekier w lesie się zmniejszał, bo cierpliwości i odwagi poczynało brakować. Każdyćby jeszcze pracował, gdyby mu kto powiedział: masz dotąd twoje. Ale nikt nie wiedział, co jego, co nie jego. Słuszne narzekania na przewodników wzrastały. Ludzie mówili, że na puszczy zostali wywiedzeni, by wyginęli marnie. Powoli, kto miał coś jeszcze grosza przy duszy, na wóz siadał i do Claresville odjeżdżał. Ale więcej było takich, którzy, włożywszy ostatni grosz w sprawę, nie mieli o czem wracać do dawnych siedzib. Ci załamywali ręce, widząc zgubę pewną.

Siekier przestały wreszcie rąbać, a bór szumił, jakby się natrzasał z ludzkiej niemocy. „Rąb dwa lata, a potem z głodu zamrzyj“, mówił chłop do chłopca. A las szumił, jakby się

natrząsał. Pewnego wieczora przyszedł Wawrzon do Marysi i rzekł:

— Widzę, że wszyscy tu zmarnieją i my zmarniejemy.

— Wola Boga — odrzekła dziewczyna — ale być ci On nam miłosierny, to i teraz nas nie opuści.

Tak mówiąc, podnosiła niebieskie jak cha-

ber oczy do góry ku gwiazdom i w blaskach ogniska wyglądała jak jaki obrazek kościelny. A chłopaki z Chicago i strzelcy z Teksasu, patrząc na nią, mówili:

— I my nie opuściwa cię, Marysiu, zorzo rumiana.

(Dokończenie nastąpi).

Cztery kalendarze ilustrowane na r. 1902

wyjdą niebawem staraniem i nakładem

K. WOJNARA

w Krakowie, ul. Szewska 13.

„Gospodarz“ znany od lat 10 jako jeden z najlepszych kalendarzy ludowych. Kalendarz ten zawierać będzie nader obfitą, urozmaiconą i pouczającą treść znakomitych pisarzy i uczonych, a między tem artykuł p. t. „Tajemnice ziemi i nieba“, czyli jasno wyłożoną naukę o ziemi, słońcu, gwiazdach, zaćmieniach, kometach, gwiazdach spadających itp., a nadto cenne artykuły **treści gospodarczej i przeszło 50 obrazków** w tekście, a **2 duże na lepszym papierze**: obraz „Królowej Kłosów“ Piotra Stuchewicza i „Pochód na Sybir“ Artura Grottgera, jednego z najznakomitszych polskich artystów.

Cena „Gospodarza“ 60 hal. = 30 ct.

„Polak“ kalendarz powieściowo-historyczny, poświęcony przedewszystkiem sprawom narodowym. Oto ważniejsze artykuły: „Bitwa pod Grunwaldem“ Henryka Sienkiewicza, „Ostatnia walka o niezależność książęcą na Śląsku“, „O Śląsku czyli Staropolsce“ (z mnóstwem obrazków, portretów i mapką Księstwa Cieszyńskiego), „Najdawniejsze urzędzenia w Polsce“ dra Feliksa Konecznego, „Jubileusz pruski“, „Podboje Rosji: na Wschodzie i sprawa chińska“ przez dra Adama Sielągowskiego, zyciorysy Jana Kilińskiego, szewca-pułkownika, Henryka Bukowskiego, Stefana Buszczyńskiego, Sewera znakomitego pisarza, Artura Grottgera i t. d. wszystkie z portretami; artykuły społeczno-polityczne: „Co słychać w Polsce“ (przegląd ważniejszych wypadków i spraw na całym obszarze ziem polskich) i t. d. Nadto dział powieściowy i humorystyczny. Wydawnictwo zdobić będzie mnóstwo rycin w tekście, a nadto jako premie na lepszym papierze: „Bitwa pod Grunwaldem“ według obrazu Jana Matejki i całą „Lituanie“ Artura Grottgera.

Cena „Polaka“ 80 hal. = 40 ct.

Polski kalendarz Maryański

Treść i cel jego wskażą najlepiej tytuły główniejszych artykułów: „Świątynia narodowa“ (Wawel), „Polska przedmurzem chrześcijaństwa“, „Rajska Pasterka“, „Z dziejów Unii“, „300-tna rocznica założenia Kalwaryi“, „Prorok narodu“ (Ks. Piotr Skarga) itd. itd. Artykuły niemal wszystkie ilustrowane wielu rycinami z obrazów Matejki, Eljasza, Popieła i t. d.

Cena 60 hal. = 30 ct.

Wielki ilustr. kalendarz powszechny czyli uniwersalny

zawierać będzie w całości treść wszystkich trzech poprzednich, a więc objemie przeszło 20 arkuszy druku (około 350 stron wielkiego formatu), a zdobić go będzie 100 ilustracji w tekście i przeszło 10 obrazów na specjalnym papierze, a między tymi „Bitwa pod Grunwaldem“, „Lituania“ i „Pochód na Sybir“.

Nadto wszystkie kalendarze zawierać będą dokładny dział informacyjny.

Cena „Kalendarza powszechnego“ i K. 60 hal. = 30 ct.

Wszystkie kalendarze zdobić będą bardzo piękne kolorowane obrazki na okładkach, malowane przez Walerego Eljasza.

Wszelkie zamówienia należy wysyłać pod adresem:

Księgarnia Antykarska
K. WOJNARA
w Krakowie, ul. Szewska 13.

Kalendarze będą gotowe 15 listopada.